Cena numeru 75 groszy.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

WIEŚ

STYCZEŃ—LUTY

1 9 3 5

1-2

WIEŚ

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM MYŚLI I KULTURY WIEJSKIEJ

ROK II STYCZEŃ — LUTY 1935 Nr. 1—2

DO WAS MÓWIĘ CZYTELNICY „WSI"

Rozpoczynamy drugi rok wydawnictwa w warunkach ciężkich i niesprzyjających — niemniej nie cofamy się z obranej drogi przygotowania myśli na nadejście nowej przyszłości. Przyszłością tą będzie oparcie myśli społecznej, wartości ekonomicznych, wzrostu kultury o ziemię i człowieka z nią nierozerwalnie związanego.

»Wieś« — jest budzeniem i utrzymywaniem czujności.

»Wieś« — jest zapowiedzią wzmożonej pracy nad budową nowej epoki: myśli i czucia chłopskiego.

Gdy patrzę w przeszłość nie znachodzę — niestety — zbyt licznych punktów oparcia w tradycji — widzę wzniosłe myśli arjan, którzy byli braćmi wszystkich ludzi, i wszystkich za braci uważali — uwalniali — ku wyśmiewowi i zgrozie braci szlachty — chłopów z poddaństwa, chadzali w kontuszu z worka uszytego — niczem pasterze w deszcz wiosenny - karabele mieli z drzewa, podkreślając w ten sposób niechęć do zabijania i do splendoru zewnętrznego. Zubożali majątkowo stali się duchowo bogaci; — widzę wspaniałą hrubieszowską pracę wielkiego męża Staszica, widzę wskazania samotnika porębiańskiego Władysława Orkana i widzę ruchy sporadyczne mierzące w wyzwolenie; — niewiele, a jednak bardzo wiele: drogowskazy to nieomylne wiodące do zwycięstwa o ziemię opartego intelektu.

Gdy patrzę w teraźniejszość widzę na obszarze całej Europy kurczowe trzymania się już nie idei, a haseł o dźwięku przebrzmiałem mimo krzykliwych wygłaszań — i widzę, że hasłom tym i społecznościom trzymającym się ich grozi bankructwo i niwelacja zupełna — która burzą przetoczy się nad narodami — pożogi miast i wsi oświecą pogrzeb pychy i nonsensu. Gdy patrzę w przyszłość widzę wyzwalające się siły przyrody idące przez mózg człowieka, przyrody rodzącej zboże i braterstwo, owoce i wolną przesądami nie skrępowaną myśl.

Każdy krok na drodze ku sprawiedliwemu jutru postawiony jest błogosławieństwem — każdy krok zbaczający z tej drogi jest przekleństwem. — Strasznie jest dużo do zrobienia.

Ani jeden człowiek, ani jedna generacja temu nie poradzi — wiara i cierpliwość, wola niezrażająca się przeciwnościami są elementami zwycięstwa. Wielka fala przemian idzie na Europę — fala jeszcze odległa, lecz czujne ucho usłyszy jej szum, a bystre oko widzi jej odblask nad ziemią, jak zorzę przedranną.

EMIL ZEGADŁOWICZ

Dr. STANISŁAW KIPTA

»O POLSKĄ USTAWĘ O BIBLJOTEKACH PUBLICZNYCH — JEDNO JAJKO ROCZNIE NA KSIĄŻKI«

Od paru tygodni jesteśmy świadkami żywej dyskusji w prasie polskiej na temat projektu ustawy o bibljotekach publicznych.

Projekty ustawowego uregulowania tej sprawy pokutują już po biurach ministerjalnych, instytucjach społecznych całe lata, bo od r. 1921. Ciągle ktoś sprawę porusza i ciągle sprawa utyka, ginie w komisjach okryta kurzem i pyłem zapomnienia.

Sprawa sama wydaje się popularną. Gdy bowiem w r. 1925 proponowałem na łamach prasy wiejskiej potrzebę uchwalenia polskiej ustawy o bibljotekach publicznych, cała prasa wychodząca dla wsi umieszczała chętnie moje artykuły, począwszy od prasy »Wyzwolenia«, »Piasta«, Stronnictwa Chłopskiego«, »Stronnictwa Katolicko-ludowego« i t. d. Nie chciały tylko poprzeć tej inicjatywy pisma narodowo-demokratyczne i radykalne, te ostatnie widząc w bibljotekach publicznych niebezpieczeństwo klerykalizacji wsi.

Na komisji oświatowej kongresu oświatowego w r. 1925 utrącił mój wniosek w tej sprawie działacz społeczny innego znów temperamentu, a mianowicie ks. Ludwiczak, dyrektor Towarzystwa Czytelń Ludowych w Poznaniu, bojący się zapewne nastrojów antyklerykalnych społeczeństwa i konkurencji gminy dla swej organizacji.

Obecnie Akademja Literatury zajęła się sprawą projektu. Jest on skromny.

Projektowana bowiem ustawa nakłada na samorządy obowiązek zakładania i utrzymywania samorządowych bibljotek publicznych. Obciążenie gmin z tego tytułu wynosiłoby od 5-ciu do 25-ciu groszy rocznie na głowę mieszkańca. Projekt liczy się z ciężką sytuacją finansową poszczególnych gmin, powiatów a nawet województw i umożliwia odroczenia wprowadzenia przymusu bibljotecznego do lat 10-ciu. Gminy, w których pracują już bibljoteki prywatne, mogą być według projektu zwolnione czasowo od obowiązku zakładania gminnej bibljoteki.

Zabrali głos za projektem literaci: pp. Juljusz Kaden-Bandrowski, Wacław Sieroszewski, Boy-Żeleński oraz b. premjer p. Janusz Jędrzejewicz i in. Grube pociski argumentów contra wytoczyły zaś grube ryby obozu pomajowego, b. wiceminister Jaroszyński, znany spec od samorządów i b. minister Matuszewski. Roją się te oba ostatnie głosy od tysiąca zastrzeżeń, poważnych obaw o deficyty, o przeciążenie gminy obowiązkami. Najbardziej jednak oblał zwolenników ustawy zimną wodą p. minister Matuszewski, który co do samej sprawy zastrzega się, że jej nie zna, i że się na niej nie rozumie. Boi się jednak p. min. Matuszewski nowej fikcji w życiu panstwowem, fikcji, jaką stworzono w ustawie o ludowych szkołach rolniczych, która pozostała bez wykonania. Uwagi p. Matuszewskiego w zasadzie słuszne, mijają się jednak z celem, o ile chodzi o bibljoteki publiczne. Ustawa biblioteczna nakładająca niewielkie ciężary na gminę, ma wszelkie szanse do przyzwoitego wprowadzenia jej w życie.

Ustawy zresztą jeszcze niema, a niektóre kulturalniejsze samorządy powiatowe i gminne wprowadzają postulaty ustawy w życie.

Niech Pan, panie ministrze zaglądnie do Sejmiku warszawskiego, a zobaczy Pan tam dzieło, które nie jest fikcją, lecz rzeczywistością godną naśladownictwa, dalszego rozwoju i poparcia. Warto o doświadczeniach tego samorządu napisać nowy artykuł »Pożądana i pożyteczna a nie najniebezpieczniejsza pokusa«.

Powiat Kosów Poleski nie należy chyba do najbogatszych powiatów. Powiat ten jednak zorganizował 71 świetlic z 208 czasopismami i 32 bibljoteki z 6.556 książkami, w czem 8 bibljotek stanowi własność powiatu.

Długi szereg samorządów powiatowych, które zakładają już bibljoteki samorządowe, znajdzie Pan w »Samorządzie« w art. p. Wojciechowskiej (nr. 47). Robota już więc zaczęta. Ustawa ma tylko uświęcić rozpoczęte dzieło, ma uporządkować teren, ma stworzyć centralny aparat instrukcyjno-opiekuńczy, któryby służył samorządom pomocą i poradą, by te nie odkrywały ponownie Ameryki, gdyż ta już

dawno została odkryta i by korzystały z doświadczenia innych.

Ustawa ma też tylko na celu polecenie opieszałym samorządom naśladowanie innych pracujących.

Dlaczego zresztą gmina ma być w trosce o oświatę nieobecną?

Nie można całego wysiłku składać na organizacje społeczne i oświatowe.

Przecież nawet najstarsza i zasłużona organizacja oświatowa Towarzystwo Szkoły Ludowej, pracująca od kilkudziesięciu lat w województwach południowych, nie zdołała zapuścić mocniejszych korzeni na wieś. Jeśli dojdzie na wieś jakiś komplet bibljoteki ruchomej, jest on ilościowo i jakościowo mizerny. Wiele kompletów pozostaje tylko na papierze sprawozdań. O takiej papierowej robocie czytaliśmy w niesłychanie ostrej krytyce działalności Towarzystwa Czytelń w Poznaniu, w Polskiej Oświacie Pozaszkolnej i katowickiej »Polsce Zachodniej«. Liczby ze sprawozdań często mówią co innego, aniżeli sprawa przedstawia się w terenie i rzeczywistości. O takich bibljotekach pisze inny znawca życia samorządowego w terenie p. St. Dębowski z Siedlec w nr. 50 tygodnika »Samorząd«.

Widziałem — pisze p. Dębowski — »bibljoteki« całkowicie pochodzące z tak zwanych »darów«, jeśli się tak o książce wyrazić można, były to kaleki, podrzutki, często bliższe kryminału jak literatury, pozatem zaś trochę czcigodnych weteranów, jakiś wyrwany z wydania zbiorowego tomik Mickiewicza, Kraszewskiego lub Prusa, ale zato w czerwonych okładkach, na najlichszym papierze i w okropnym układzie graficznym.

W mojej praktyce oświatowej też wysyłałem na Podhale takie zbierane komplety na liczbę; z księgozbiorów tych w parę lat później nie znalazłem w terenie śladu ani pożytku.

Kiedy zaś później zorganizowałem w małym 4.500 mieszkańców liczącym Wodzisławiu Śl. wielką bibljotekę, złożoną z 4.000 dzieł doborowej literatury, zjeżdżali się i schodzili do niej masowo i setkami czytelnicy z dalekich, o trzy mile nieraz położonych okolic. Nie należy więc obawiać się, co czyni p. Jaroszyński, że książka tu i tam nie będzie rozchwytywana. Bibljotekę wodzisławską założyłem jednak niezależnie od wyjątkowej ofiarności społeczeństwa, także dzięki subwencjom gminy i powiatu. W gminie zaś subwencja ta dobrowolna, przekraczała 10 gr. na głowę, choć to było w czasie kryzysu i szalejącego bezrobocia.

Przed reorganizacją z bibljoteki małej korzystały tylko nieliczne jednostki.

Nie należy zapominać, że pomysł ustawy o bibljotekach nie jest wynalazkiem polskim. Ustawę tę znają i Anglja i Stany Zjednoczone, Belgja i Czechosłowacja, Estonja i Danja, Finlandja, Sowiety, Rumunja — a nawet wyniszczona szeregiem wojen i kontrybucyj Bułgarja. Polska ze swemi chlubnemi tradycjami nie potrafiła się zdobyć na odważniejszy krok.

Odsyłamy Panów Ministrów do książek p. Wandy Dąbrowskiej p. t. »Nowoczesne ustawodawstwo w zakresie bibljotek publicznych« i Filipkowskiej-Szemplińskiej »Bibljoteki publiczne w Czechosłowacji«, wydaną przez Min. W. R. i O. P.

Dowiedzą się z tych książek, że ustawa bibljoteczna w szeregu krajów to nie fikcja, ale dźwignia postępu i oświaty obywatelskiej.

Fikcją jest natomiast opieranie potęgi państwa na masie analfabetów całkowitych lub połowicznych, nie związanych ideowo z państwem. Czy chłop analfabeta jest czynnikiem państwowo-twórczym i pełnowartościowym obywatelem, śmiemy wątpić.

Dlatego rzuciłem już w numerze noworocznym »Gospodarza Polskiego« hasło i powtarzam je na łamach »Wsi«: Poświęćcie na książki jedno jajko na mieszkańca rocznie! Jeśli mamy wieś polską rozbudzić i wyrwać ją z biernoty, przygotować ją do bujnego życia, nie możemy żałować 5 gr. rocznie na głowę, na dobrą książkę.

Projekt ustawy o bibljotekach publicznych co do zasady, nie może upaść. Nie mogą tego projektu zepchnąć znów na zakurzone półki nawet najbardziej wymowni publicyści z miasta.

Idea bibljotek publicznych w żywotnym interesie wsi musi zwyciężyć!

Dr KAROL ARCT

REGJONALIZM I JEGO ZASTOSOWANIE W ADMINISTRACJI PUBLICZNEJ

Administracja publiczna podlega tak samo jak wiele innych zjawisk społecznych pewnej ewolucji. Pojęcia się zmieniają z biegiem czasu, zmieniają się i potrzeby ludności. Dawniejsze metody administrowania nie mogą odpowiadać człowiekowi nowożytnemu Ludzkość doskonali się bezustannie i wymaga coraz to nowych form prawnych i administracyjnych. Nowoczesna przeto administracja musi, względnie powinna, również doskonalić się coraz bardziej, jeżeli nie ma stać się zawadą i przeszkodą rozwoju ludności, jeżeli nie ma utrudniać życia codziennego. Co za plagą bowiem jest dla ludności zła, przestarzała, nieudolna i t. d. administracja. Jak to codzienne i tak ciężkie życie ludzkie staje się tem bardziej ciężkie i zatrute, jeżeli do wszystkich codziennych trosk i kłopotów dołączają się nadto jeszcze utrudnienia, powodowane złą administracją publiczną.

Jeżeli rozglądniemy się po innych państwach kulturalnych, to usłyszymy wszędzie niemal narzekania na administrację państwową; stawia się jej zarzuty wszędzie niemal jednakowe.

Polska obecna, jako państwo młode, stanęła również wobec wielkiego problematu stworzenia polskiej administracji publicznej, i dlatego też od chwili wskrzeszenia państwa polskiego wysiłki wybitniejszych naszych mężów stanu skierowane są w kierunku stworzenia dobrej i nowoczesnej administracji państwowej. Jest to zadanie tem trudniejsze, że Polska wskrzeszona nie przedstawiała jednolitości pod względem zasad i metod administracyjnych, odziedziczyła bowiem po zaborcach trzy zasadnicze typy administracji, a to austrjacki, pruski i rosyjski. W austrjackiej administracji starosta względnie starostwo było jedynie władzą orzekającą w pierwszej instancji. Cały niemal wysiłek starostwa skierowany był na wydawanie dobrych, opartych na rozległej kazuistyce prawnej orzeczeń i rezolucyj, natomiast administrację tę cechował brak kontaktu z szerszemi warstwami społeczeństwa i brak zrozumienia dla pracy społecznej. W rosyjskiej administracji przeważały cechy policyjne, a działalność jej była niemal zupełnie niezależna od prawa administracyjnego. Administracja była tam niemal równoznaczna z systemem policyjnym. Pruska natomiast administracja była najbardziej uspołeczniona, a landraci pruscy kierowali rzeczywiście powierzonem swej pieczy społeczeństwem, jednakże — jak powszechnie wiadomo — w sensie bardzo nieprzychylnym dla ludności polskiej, a ponadto i ta znakomita pod niektórymi względami administracja dostosowana była do przedwojennych wymogów i pojęć, i po wojnie wymagała również dostosowania do nowocześniejszego układu stosunków i nowych potrzeb.

Jak z powyższego krótkiego zestawienia wynika, Polska nie mogła przejąć żadnego z trzech powyżej przedstawionych typów administracji, i musi wskutek tego z całą koniecznością dążyć do wytworzenia jednolitego swojskiego, polskiego typu administracji, musi dążyć do wytworzenia typu polskiego starosty i wojewody, musi dążyć do uspołecznienia swej administracji. Wyrazem tych wysiłków i zamierzeń jest wydane w roku 1928 rozporządzenie Pana Prezydenta o organizacji i zakresie działania władz administracji ogólnej, oraz zarządzenie ministerstwa spraw wewnętrznych w sprawie studjów nad stosunkami województw jako jednostek regjonalnych i wojewódzkich programów działania.

Wprowadzono w ten sposób po raz pierwszy do naszej administracji państwowej pojęcie regjonalizmu, pojęcie całkiem współczesne, a łączące się z wymogami dekoncentracji, decentralizacji, mającemi swe wytyczne w naszej konstytucji.

Ponieważ pojęcie regjonalizmu jest na terenie Polski pewną nowością, pragnę poświęcić mu parę uwag, tembardziej, że pojęcie to wchodząc w skład elementów państwowej administracji ogólnej, będzie z natury rzeczy coraz intenzywniej przenikać do coraz szerszych warstw społecznych, aż stanie się własnością ogółu.

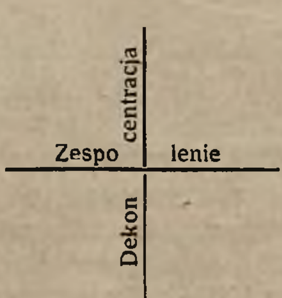
Aby lepiej zrozumieć istotę i pojęcie regjo-

nalizmu, który ma stanowić pewien element składowy naszej polskiej administracji publicznej, który ma na stałe wejść do repertuaru naszego myślenia administracyjnego, musimy na chwilę zastanowić się nad tem, na jakich zasadach najważniejszych ma się opierać nasza administracja publiczna. Otóż za najważniejsze zasady organizacyjne naszej administracji uważam: 1) zasady tzw. naukowej organizacji pracy, 2) zasadę zespolenia, 3) zasadę udziału czynnika obywatelskiego, 4) zasadę dekoncentracji i decentralizacji.

Wyszczególnione tu cztery zasady są tak ważne, że w razie braku ich administracja nie mogłaby odpowiedzieć swemu zadaniu, nie mogłaby być administracją nowoczesną.

W niniejszym artykule nie będę zajmował się przedstawieniem zasad naukowej organizacji pracy, gdyż ramy tego artykułu na to nie pozwalają. Również z tych samych względów nie będę omawiał zasad udziału czynnika obywatelskiego w administracji publicznej; obie te zresztą zasady nie łączą się ściślej z zasadami regjonalizmu. Zajmę się jedynie pokrótce zasadą zespolenia, dekoncentracji i decentralizacji, o ile wchodzi to w zakres głównego tematu, tj. regjonalizmu.

Dekoncentracja to usamodzielnienie organów niższych przez nadanie im prawa decyzji w oznaczonych sprawach. Zasada ta zwiększa kompetencje władz niższych, odciążając władze centralne przez odjęcie im obowiązku załatwiania wielkiej ilości spraw charakteru lokalnego. Przy dekoncentracji rząd może łacniej zająć się kierownictwem, a nie potrzebuje tracić czasu na załatwianie spraw pojedynczych. Zespolenie i dekoncentracja stanowią dwie strony tego samego problemu usprawnienia i uproszczenia administracji państwowej — zespolenie w przekroju poziomym, dekoncentracja w przekroju pionowym.



Zespolenie dąży do usprawnienia administracji, wykluczenia zbędnej korespondencji, zmniejszenia obiegu i bagażu papierowego, przyśpieszenia załatwiania spraw i zbliżenia urzędów do ludności przez zmniejszenie ilości urzędów w obrębie poszczególnych jednostek terytorjalnych, skupienie decyzji w ręku jak najmniejszej ilości urzędników. Dekoncentracja wpływa również na rozwój kultury ośrodków prowincjonalnych, wydobywając z nich najbardziej wartościowe walory intelektualne, społeczne, gospodarcze etc. Dekoncentracja, to odwrotny stosunek do centralizacji, to zaczątek — regjonalizmu.

Reformy administracji nie możemy pomyśleć bez urzeczywistnienia zasady i systemu dekoncentracji, która jest wyrazem uproszczenia i zmodernizowania administracji publicznej.

Państwa zagraniczne reformując i unowożytniając swą administrację stosują tę zasadę w szerokiej mierze; szczególnie Francja od roku 1926 wkroczyła na drogę o decentralizacji i dekoncentracji administracji.

Dekoncentracja według teorji nauki administracyjnej jest to instytucja prawna, polegająca na usamodzielnieniu niższych organów przez nadanie im prawa decyzji.

Sprawa wprowadzenia do administracji w Polsce zasady dekoncentracji pokutuje od roku 1925, gdyż w tym roku Rada Ministrów powzięła pierwsze uchwały, sprawa ta jednak weszła na właściwe tory dopiero wtedy, gdy do pracy przystąpiła trzecia komisja pod przewodnictwem ministra Młodzianowskiego. Czwartym etapem, to powołana do życia 27 września 1928 komisja do usprawnienia administracji, w której zasiadają wybitni urzędnicy i fachowcy.

Również niezmiernie ważnym elementem, którego wymaga się od wszelkiej nowoczesnej administracji publicznej, jest aby była twórczą. Nie dość więc umiejętnie stosować przepisy, nie wystarcza regulować stosunki, które już powstały bez wpływu i przyczynienia się administracji; nowoczesny administrator nie odpowie zadaniu, jeżeli nie będzie wydatnie wpływał na samokształcenie się stosunków, jeżeli się nie stanie motorem życia zbiorowości. Na wysokości zadania stanie on dopiero wtenczas, kiedy poznawszy jak najdokładniej powierzony sobie teren i jego szczególne właściwości, przez

celowe koordynowanie wysiłków wszystkich czynników, działających na terenie, i swoją własną inicjatywą przyczyniać się będzie do możliwie pełnego rozwoju wszystkich sił twórczych, tkwiących w społeczeństwie. Z tego punktu widzenia każde województwo i każdy powiat jest nietylko jednostką podziału administracyjnego, ale także jednostką regjonalną, posiadającą swoją indywidualność i swoje własne życie, odrębne od życia innych rejonów. W interesie państwa i społeczeństwa leży, aby indywidualne życie każdego rejonu było jak najbujniejsze i najwszechstronniejsze, i aby uśpione a tkwiące w odrębnych właściwościach każdego terenu siły i wartości rozwijały się dla dobra całości. Trzeba wykryć, ustalić i w jedną całość zjednoczyć te wszystkie czynniki, które tworzą indywidualność danego rejonu, i które mają być podstawą regjonalnego programu działania.

Ponieważ niepodobna dobrze administrować bez programu, obliczonego na dalszą metę, i stanowiącego w administracji pewnego rodzaju czynnik stały, niezależny od zmiennych konjunktur bieżącej polityki — przeto trzeba stworzyć przedewszystkiem realny program regjonalny, zmierzający do możliwie wszechstronnego określenia stanu i potrzeb jednostki regjonalnej. Treścią takiego studjum musi być dokładna analiza poszczególnych elementów, składających się na charakterystykę stosunków regjonu.

Innemi słowy regjonalizm ma za zadanie rozwinięcie sił żywotnych większych połaci kraju, celem wydobycia z nich swoistego charakteru, i stworzenia w ten sposób z czasem ich kulturalnego i gospodarczego dorobku. Ojczyzną regjonalizmu jest Francja, w której pojęcie to zrodziło się jako antyteza centralistycznego ustroju państwa. Jak wiadomo, Francja od czasu Napoleona rządzona była i jest dotychczas rządzoną centralistycznie, co spowodowało, że prowincja we Francji wyjałowiała, albowiem stolica ściągała najlepsze siły z prowincji do metropolji. Doszło z biegiem lat do tego, że Paryż stał się synonimem państwa, a prowincja francuska poza nielicznymi wyjątkami, nie zajęła właściwego miejsca w życiu publicznem i intelektualnem Francji.

Przeciwko temu stanowi rzeczy podniósł się w duszy francuskiej protest; spostrzeżono, że dalsze trwanie takiej bezwzględnej preponderancji stolicy kosztem prowincji nie jest korzystne dla państwa jako całości, że trzeba zmienić ten system, i to w tym kierunku, aby dać możność prowincji rozwinięcia wszystkich najlepszych sił żywotnych i użycia ich dla dobra państwa i społeczeństwa francuskiego. To był początek regjonalizmu, który — jak z powyższego wynika — powstał »u dołu« i rozwijać się począł »ku górze«, powstał z ducha i potrzeb prowincji, i dobijać się zaczął swych praw w sferach rządzących. To też Francja nastawia obecnie swą administrację w drodze ustawowej na pracę twórczą na terenach prowincjonalnych, a ruch ten zyskuje coraz więcej zwolenników, i wydaje coraz lepsze owoce. Okazuje się zatem z tego, że regjonalizm w tem ujęciu, to odwrotny kierunek do centralizacji życia publicznego, społecznego i intelektualnego.

Jeżeli we Francji ruch ten regjonalistyczny jest tak pożądany i uzasadniony, to tem bardziej potrzebę jego uczuwa się u nas w Polsce, która cierpi na dzielnicowość, jako pozostałość po zaborach, a którą to naleciałość skutecznie zwalczać można jedynie zasadami regjonalizmu; w tem przeto znaczeniu regjonalizm jest u nas antytezą dzielnicowości.

J. STOŻEK

POŻYTECZNY INSTRUMENT

Nie ulega wątpliwości, że powiatowi instruktorzy rolni nie lekkie mają życie. Nawał obowiązków, które z każdym rokiem wzrastają, skomplikowana sytuacja gospodarcza w powiatach, szalejące antagonizmy między rozbitemi politycznie grupami, oraz liche wynagrodzenie za pracę, nie ułatwiają im życia. Instruktor rolny zna jak rzadko kto, teren swojej działalności. Styka się, i co ważniejsze, współżyje codzień z ludźmi. Dobry instruktor — to

działalność terenowa! Jak najmniej przebywać w biurze, jak najwięcej na kursach, konkursach i w zagrodach wiejskich. Dźwigają oni, przy znanem osłabieniu zawodowych organizacyj rolniczych, cały ciężar odpowiedzialności za ogólny poziom gospodarki rolnej: od powiatowego iustruktora rolnego zależy w dużej mierze należyte funkcjonowanie gospodarczych prac organizacyj społecznych na wsi.

Są to ludzie zacięci w robocie. Znam sporą liczbę instruktorów: patrzę często z podziwem, jak ci ludzie niedośpią, niedojedzą, by zdążyć na czas na zebranie Koła Gospodyń, Kółka Rolniczego, lub Koła Młodzieży Ludowej. I trzeba stwierdzić, że ludność rozumie i docenia działalność instruktorską. Zawiązują się tutaj obopólne nici przywiązania i sympatyj. Zdarzyło mi się być świadkiem w Wiejskim Uniwersytecie Ludowym w Szycach, jak słuchaczka Uniwersytetu oburzyła się mocno na swoje koleżanki z różnych stron Polski pochodzące, że nie znają nazwiska instruktora z jej powiatu; jest to przykład drobny, ale bardzo wymowny!

To są blaski w życiu instruktora. Dobry instruktor zyskuje sobie zaufanie w pracy, czując zaś przyjazny dla tej pracy klimat, wkłada w nią spory zasób, nieproporcjonalnej do wynagrodzenia energji, i wiąże się ideowo z terenem. Działalność jego wydaje wtedy piękne owoce. Wzorowa organizacja Przysposobienia Rolniczego, ogniska kultury hodowlanej, ilość dorodnych sadów, wzorowe chlewy i obory, zależą w dużym stopniu od ideowości jednostki, która prace te inspiruje. Szkoły Rolnicze uczą, ale mało wychowują. Instruktor rolny musi uczyć i wychowywać. Wychowankowie Szkół Rolniczych, nie mając kawałka gruntu, by z nabytą wiedzą odpowiednio gospodarzyć, szukają posady: prowadzeni przez instruktorów konkursiści przyczyniają się do uspołecznienia zdobyczy w nowoczesnej uprawie roli. Praca wychowawcza jest tu niemniej ważna od samego szkolenia. Instruktor wkorzenia się przez taką pracę bardzo mocno w teren. Słowa jego nie idą na marne. Ma duży wpływ na środowisko wiejskie. Cenią jego pracę starsi, lubi go młodzież. Upadającemu nieraz ze znużenia pracownikowi wystarczy za wszystkie nagrody i zaszczyty serdeczna dłoń peerowca, wdzięczne słowo chłopskie i przyjaźnie witający go uśmiech wsi. Wystarczy, gdy się widzi, że włożony przez nas kapitał pracy daje pewny, nadewszystko ważny, społeczny procent. Warto w kapitał ów włożyć niemało zdrowia, poświęcić dlań osobiste, rodzinne wygody, nasycić go krwią zapału i nieznającej trudów ochoty...

Obok blasków są cienie. Instruktorzy zawaleni są robotą. Przeróżne osoby i instytucje, niewczuwające się w ich sytuację, obarczają instruktorów fantastycznemi instrukcjami. Instruktor zna teren, ma wszędzie dostęp ułatwiony, egzekutywa personalna jest łatwa! Jest rzeczą zrozumiałą, że wykonywanie fantastycznych zleceń osłabia i demoralizuje jednostkę.

Uwolnienie personelu instruktorskiego od różnych, mniej ważnych czynności, jest sprawą bardzo ważną. Zapewnia to ciągłość, solidność i konsekwencję pracy rolniczo-społecznej w powiatach. Trzeba także stwierdzić, że personel instruktorski jest stanowczo zaszczupły. Jest rzeczą wykluczoną, by jeden, dwóch, lub nawet trzech instruktorów podołało koniecznej pracy, jakiej wymaga dzisiejszy, ze wszechmiar opłakany stan rolniczy w Polsce. Fizyczna niemożliwość! Tutaj nie trzeba żałować pieniędzy. Jest to możliwe bez wielkich ofiar ze strony Wydziałów Powiatowych. Wystarczy umiejętna reorganizacja instytucyj rolniczych, a pieniądze się znajdą. Czasy pomyślnej konjunktury gospodarczej przyczyniły się do nadmiernej i za kosztownej rozbudowy aparatu kontrolnego w Towarzystwach Rolniczych. Towarzystwa te prowadziły w szczęśliwych czasach »wielką« politykę rolną od zielonych stolików; chorowały na podróże i piękny teatralny gest. Można było w czasach dobrych zbudować sprawną sieć Kółek Rolniczych, zorganizować od fundamentów spółdzielczość spożywczą i handlową. Towarzystwa Rolnicze nastawiły się jednak na tani i obfity kredyt, oraz kosztowną rozbudowę personalną centralistycznych agend. Niedziwota, że przy gwałtownem wyschnięciu źródeł pieniężnych, Towarzystwa Rolnicze zapadły w chroniczną chorobę powstałą z przejedzenia się... meblami, kredytami i personelem urzędniczym. Legły Kółka Rolnicze, osłabły Okręgowe Towarzystwa, centrale zasię zabrały się z dużą dozą spokoju do konsumowania... samych siebie. Wymownym przykładem jest tu lwowski oddział Małopolskiego Towarzystwa Rolniczego. Trzeba było dużej dozy odwagi, by się zabrać do uporządkowania zawodowych organizacyj

rolniczych. Jestem z pełnym szacunkiem dla ludzi, którzy się tego podjęli. Trzeba tylko dbać, by nie wpaść w stare błędy. Lustratorów z Towarzystw i Izb Rolniczych trzeba usadzić w terenie. Każdy grosz, wypłacony działaczowi terenowemu, ma, w tych wypadkach, pięciokrotną wartość. Pieniądze na powiększenie liczby instruktorów rolnych w powiatach, są, powtarzam, możliwe do zdobycia. Trzeba tylko odważnie pomyśleć. Trzeba też pomyśleć i o tem, by instruktorzy nie głodowali. Licho wynagradzany pracownik nie pociągnie długo! Wydajność pracy człowieka lepiej wynagradzanego rośnie niemal w postępie geometrycznym w stosunku do przybywających w wynagrodzeniu złotówek.

Najważniejszemi tedy — warunkami ułatwienia i nasilenia prac w Okręgowych Towarzystwach Rolniczych są: ciągłość działania, pomnożenie liczby i lepsze wynagrodzenie instruktorów!

Wspominam w niniejszym artykule mało o Kółkach Rolniczych, choć, między wierszami wciąż o nich myślę. Stwierdzam z miejsca, że odbudowę i unowocześnienie Kółek Rolniczych widzę w rozrastających się ideowo i organizacyjnie Kołach Młodzieży Ludowej. W Kołach tych szukać zresztą należy rozwiązania szeregu jutrzejszych problemów. Trzeba przyznać, że instruktorzy rolni są naszymi serdecznymi druhami w ruchu młodej wsi. Jest rzeczą zrozumiałą, że przez udział w pracach młodzieży montują instruktorzy przyszłość Kółek Rolniczych i Spółdzielczości w Polsce. W Kółkach Rolniczych leży przyszłość Okręgowych i Centralnych Towarzystw Rolniczych. Fala, która się nie zmarnuje!

Zagadnienie, które dość niewinnie w tym skromnym, poświęconym Kolegom-instruktorom artykule poruszam, jest niewątpliwie ważne. Pożyteczny, otoczony sercem i opieką, czujący się dobrze zespół instruktorów rolnych, może się stać niesłychanie cennym instrumentem w procesie uspołecznienia wsi w Polsce.

Dr. roln. i praw JAN SONDEL.

WIEŚ A KAPITALIZM

NA MARGINESIE RECENZJI MEJ PRACY

W ostatnim numerze »Wsi« pojawił się artykuł p. Józefa Machalicy p. t. »Od kapitalizmu po strój«, w którym autor omawia między innemi i moją pracę p. t. »Kapitalizm a gospodarstwo włościańskie«.

Stwierdza przytem, że sympatyzuję z rosyjskim prof. Czajanowem, twórcą specjalnej teorji gospodarstwa włościańskiego, »chociaż ona oparta jest na materjale statystycznym i może się odnosić do stosunków wśród małorolnych rosyjskich przed rewolucją. Do stosunków przeciętnego gospodarstwa w Polsce — pisze autor, trudno już teorję tę dostosować, a już zupełnie nie odpowiada ona typowi gospodarstwa małorolnego zachodniej Europy lub fermy amerykańskiej«.

Ponieważ ze słów p. Machalicy nie mogę wyrozumieć, czy przytacza moją opinję, czy też czyni mi odnośny zarzut, dlatego — chcę zauważyć, że takie a nie inne właśnie stanowisko reprezentuję. Zresztą sam Czajanow wyraźnie się zastrzegł, że w swej teorji rozpatruje »czystą kulturę« gospodarstwa rodzinnego, opartego li tylko na własnych siłach rodzinnych. Pod tym względem sympatyzuję w zupełności z teorją Czajanowa, bo oparta jest na tak bogatym materjale statystycznym, jakiego żaden kraj w okresie przedwojennym nie posiadał, ani nie posiada i dlatego, że można ją odnieść nietylko do naszego, ale i do każdego zachodnio europejskiego gospodarstwa, opartego na własnej robociźnie.

Na str. 140 piszę: »Zgadzam się w zupełności z opinją Schirkowitza, że jeśliby teorja nic więcej nie zrobiła, jak tylko pobudziła do pewnych badań w tym kierunku, to już to samo jest wielką zasługą«. Twierdzę, że do większości naszych gospodarstw włościańskich może ona mieć śmiało zastosowanie, a zwłaszcza do gospodarstw czysto rodzinnych w pojęciu Cza-

janowa. Że jednak do teorji powyższej nie odnoszę się bezkrytycznie, wynika to z mych słów, przytoczonych na str. 145«. Reasumując to, co wyżej wypowiedziałem, chcę podkreślić, że zdaniem mojem, nie należy stać na stanowisku krańcowem, a więc zajętem przez Studenckiego, który gospodarstwom napół kulturalnym przypisuje charakter czysto kapitalistyczny, ani Czajanowa, który bierze za podstawę swych badań gospodarstwo czysto rodzinne i patrząc na jego funkcjonowanie z punktu widzenia prawa wartości krańcowej, czy prawa nasycenia, uważa je za »ein ganz eigenartiges, eigengesetzliches«, vom kapitalistischen Standpunkt inationales und darum einer ganz besonderen »Arbeits — und Konsumbilanz-theorie bedürfendes Gebilde« za twór szczególnego rodzaju rządzący się własnemi prawami z punktu widzenia kapitalizmu irracjonalnego — więc wymagający szczególnej teorji bilansu pracy i spożycia — jak mówi Leontiew. Gospodarstwo włościańskie ma bowiem, jak to już w poprzednim rozdziale podkreślono podwójny, dualistyczny charakter i dlatego, z tego punktu widzenia, winno się je rozpatrywać. Przychylam się w zupełności do zdania Leontiewa, iż »stosunek tych dwóch podstawowych czynników, a więc naturalnego i gospodarczo-wymiennego nie da się ustalić a priori tylko w każdym poszczególnym wypadku i to jedynie na podstawie metody indukcyjnej.

»Kwestja charakteru gospodarstwa włościańskiego, który może jedynie zadecydować o potrzebie, czy braku potrzeby stwarzania specjalnej teorji gospodarstwa włościańskiego, była i jest sporną, i dlatego potrzebne są badania w tym kierunku«.

Otóż stojąc bezwzględnie na zajętem przezemnie w pracy stanowisku, solidaryzuję się w zupełności ze zdaniem młodego, lecz utalentowanego i dobrego znawcy wsi p. Stożka, wyrzeczonem w artykule: »W ogniu dyskusji« (w tymże samym numerze »Wsi«), iż: »Wieś wymaga systematycznego studjowania i olbrzymiej organizacyjnej pracy, za szybkie uogólnienia będą się zawsze mścić«.

W innem miejscu pisze p. Machalica: »Jeżeli chodzi o przyszłość, to z postępem i oświatą gospodarstwo małorolnego będzie coraz bardziej kapitalistycznem«. Na powyższy temat piszę na str. 141: »Dla dobrobytu społecznego nie może być bowiem rzeczą obojętną w jakim kierunku winien iść rozwój gospodarstw, a ponieważ jasnem jest, że tylko zbliżanie się ich ku kapitalizmowi może być pożądane, dlatego byłoby rzeczą wielce ciekawą zbadać, jak daleko może posunąć się granica zawładnięcia niemi przez kapitalizm, by jednak nie zostały wyrugowane w zupełności wszystkie te cenne akapitalistyczne pierwiastki — które, zwłaszcza w czasach niezmiernie ciężkich — dają gospodarzom włościańskim wielką odporność i siłę przetrwania«.

Stoję zatem na stanowisku, że kapitalizm, skoro przekroczy pewną granicę w gospodarstwach włościańskich, może się stać zgubnym. Pod tym względem schodzę się w zapatrywaniach z głębokim znawcą życia gospodarczego wsi, prof. Władysławem Grabskim, który w pracy swej (»Wieś polska i kapitalizm w rolnictwie«) w ten sposób pisze:

»Społeczeństwo, które stoi przed ciągłemi niebezpieczeństwami i które radzi sobie o własnych siłach w kroczeniu po drodze postępu ogólnego, nie może robić dużych kroków na drodze kapitalizacji wsi, bo wtedy proces niweczenia sił żywotnych nie będzie wynagradzany przyrostem siły tworzenia nowych podstaw równowagi układu stosunków ogólnych«.

Należy nadto podnieść, że ustrój kapitalistyczny trzeszczy w podstawach i zdaje się, że trudno go będzie uratować — skąd zatem pewność, że »gospodarstwo małorolnego będzie coraz bardziej kapitalistyczne?«

W innem miejscu pisze p. Machalica: »A nawet przy gospodarce pierwotnej, typowo wymiennej (moje podkreślenie), celem gospodarki włościańskiej jest przecież zaspokojenie potrzeb rodziny, czyli dochód brutto, a środki do uzyskania dochodu są te same, co w każdem innem przedsiębiorstwie gospodarki ludzkiej: warsztat (ziemia), praca i kapitał... itd.

Nie wiem, czy nie zaszła tu jakaś pomyłka, bo mamy w tem zdaniu pomieszanie pojęć. Gospodarka bowiem pierwotna w myśl utartych pojęć w ekonomji nie jest »typowo wymienna« lecz samowystarczalna — a taksamo nie jest rzeczą obojętną dla ustroju gospodarstwa, czy praca jest własna czy najemna — a także w jakim stosunku występują poszczególne czynniki produkcji — to też myli się autor, jeśli sądzi, że środki do uzyskania dochodu są

we wszystkich warsztatach te same — nas bowiem interesuje nie przyrodniczy, lecz ekonomiczny punkt widzenia.

Niestety, nie mogę się zgodzić z autorem, iż obawy moje o utratę przywiązania chłopa do ziemi przy wzroście wpływów kapitalistycznych w Polsce okażą się płonne i nie przekonuje mnie nawet wskazanie na Poznańczyka jako rzekomo typowego już kapitalistę, albowiem nawet chłop poznański patrzy na ziemię nietylko przez okulary racjonalistycznego przedsiębiorcy, lecz związany jest z nią sercem i uczuciem, w przeciwnym razie rolnicy poznańscy nie mogliby wydać Drzymały i walczyć o utrzymanie ziemi polskiej, znosząc bardzo przykre prześladowania.

Jestem pewien, że tak długo chłop polski nawet w czasie, gdy mógłby znaleźć lepszy zarobek na innym warsztacie pracy, nie porzuci ziemi — jak długo nie owładnie nim duch kapitalistyczny, jak długo zatem nie stanie się »homo oeconomicus« (człowiek ekonomiczny), który ma rozum i pugilares, lecz niema serca.

Czem później się to stanie, tem lepiej dla Polski — dlatego nie należy sobie życzyć, aby kapitalizm wziął we wyłączne władanie wieś polską.

Nie rozumiem również, jak sobie p. Machalica wyobraża przyszły ustrój oparty na kapitale podporządkowanym interesom państwowym z zatrzymaniem prawa prywatnej własności. W Bolszewji jest on podporządkowany interesom społecznym i państwowym, lecz tam niema prywatnej własności. Jedyny ustrój, za jakim mógłbym się oświadczyć — to ustrój solidarystyczny, a kto się z nim chce zapoznać, niech przeczyta świetną pracę prof. dr. L. Caro p. t. »Solidaryzm«.

JÓZEF MALCZYK

JAK DZIAŁAJĄ KOMITETY POWODZIOWE

Pół roku minęło od strasznych dni, w których mętne fale potopu lipcowego pogrążyły setki tysięcy ludzi w skrajnej nędzy, zabierając im czasem ostatnią garstkę zboża. Należałoby się teraz zastanowić, jak społeczeństwo spełniło i spełnia swój ludzki obowiązek niesienia pomocy powodzianom. Przyznać trzeba, że pomoc dla tych biedaków, była i jest ogromna. Szły przecież i idą jeszcze ze wszystkich zakątków Polski setki wagonów zboża, paszy, mąki, ubrań, obuwia — co kto mógł, to dłonią ofiarną składał tym, którzy przymierali z głodu. Nie da się absolutnie zaprzeczyć, że już dziś śmierć zbierałaby bogate plony, gdyby pomoc nie była przyszła na czas. Pomyślmy teraz jak wielką pracę i odpowiedzialność wzięły na siebie komitety powodziowe, ile trudu ponoszą, aby tylko zaspokoić głód, ulżyć nędzy ludzkiej. Wielką jest rzeczą złożenie daru na powodzian, ale ileż to trzeba zabiegów i pracy, ażeby te dary podzielić sumiennie i sprawiedliwie. Gdyby jeszcze sami powodzianie i komitety lokalne postępowały uczciwie, byłoby pół biedy, ale niestety życie deprawuje ludzi. Znam tego tak jaskrawe przykłady, że aż obrzydzenie bierze. Podam tylko kilka z nich, z terenu dotkniętego powodzią, a mam wrażenie, że to już najzupełniej wystarczy, aby dać obraz, w jakich warunkach pracują powiatowe komitety powodziowe. Do jednej z wiosek przychodzi 80 metrów płótna dla najbiedniejszych. W sprawie tej wójt opłacił 2.50 zł. nadeszły telegram, za niego ściągnął od obdarowanych po 10 gr., czyli zarobił na czysto 5.50 zł. Przyszły do niego ubrania i buty. Szwagier zabrał kurtkę, bo w sam raz pasowała na niego. Służącemu podarował również parę butów, bo się chłopczysko dość u niego napracował, trzeba mu zapłacić darami powodziowemi. Od przywiezienia słomy ze stacji płacił od fury 50 groszy, a brał od metra po 10 groszy, też dobry zarobek, ale brzydki i podły. A teraz sami powodzianie, czy widział wodę, czy nie, dary idą, więc trzeba brać ile się da. Jeżeli wójt jest uczciwy, a takich jest dosyć, to oszustwo nie idzie tak łatwo. Widziałem na własne oczy w powiatowym komitecie odbudowy, 82 podania z jednej wioski z prośbą o przydział drzewa, cegły i cementu na odbudowę zniszczonych domów. Z tych wszystkich, tylko 3 zostały aprobowane przez wójta, na innych napisał, że nie zgadzają się z prawdą. Inspektor zajmujący

się tą sprawą pokazał mi ten plik ze słowami: »Niech pan zobaczy ile to pisaniny, ile zmarnowanego papieru, ile roboty dla nas, to jedna wieś, a ile tego w całem województwie Krakowskiem — gdyby te papiery spieniężyli — to setki ludzi miałoby co jeść«. Poszedł jeden z instruktorów badać stan zniszczenia w terenie. Zaszedł do jednej z wiosek w powiecie wadowickim. Tam powiedzieli mu, że jest wprawdzie jedna kobiecina w najskrajniejszej biedzie, mieszkająca blisko Skawy, ale źleby było, żeby jej cała wieś nie potrafiła dopomóc. Wykazu nie robią, boby się takich potrzebujących namnożyło dziesiątki, a niepotrzebnie. To są obywatele — ci rozumieją swój obowiązek. Takich wójtów nam trzeba, a będzie ukojony i głód i obejdzie się bez nadużyć. Jeden znowu mieszkaniec Skawy (wieś) przyszedł z przekleństwami do sekcji dożywiania powodzian, że inni »żreją spyrkę, dostają mąkę i odzież, słomę dla bydła«, a on choć mu po całej wiklinie woda przeszła, nie dostał ani metra słomy. Pierwszy raz słyszałem, żeby słoma rosła we wiklinie. Szkoda, że się nie upomniał o odszkodowanie za zatopioną ostrężynę. Biedni ci komitetowi. Ileż nasłuchają się najniewinniej klątw i pogróżek, od samych powodzian, stojąc zmarznięci i zgłodniali w wagonie kolejowym przy rozdziale. Życie i bieda deprawują ludzi, tworząc z nich szakali i hijeny. Teraz mamy zimę, pomoc jakkolwiek wielka, przecież nie jest jeszcze dostateczna. »Obeschła ziemia, osuszmy łzy«. Nie wolno nam jeszcze spocząć spokojnie, sumienie obywatelskie i serce człowiecze wzywa nas do pracy — do ofiarności. Nie czas dzisiaj budować szpitale dla piesków, gdy z głodu i zimna giną ludzie. Wieluż jest takich, którzy się jeszcze nawet nie otarli o skarbonki powodziowe. Do was więc apeluję, wy wszyscy, którzy nie zaznaliście biedy — nie żałujcie grosza dla biedoty, bo to także ludzie, tylko opuszczeni przez los, dzisiaj im, jutro wam przydać się może ofiarność zbiorowa.

HENRYK PUZIEWICZ

INSTYNKTY

Michał Mazur nie zdawał sobie sprawy ze znaczenia słowa wytrzymałość — bo się ta pewnie nad tem i nie zastanawiał. Po cóżby zresztą — czy się to komu zdało na co?... A chociażby się i zdało komu — to w każdym razie nie Michałowi Mazurowi, który żył jakby to można powiedzieć cudem, a o swojem bytowaniu nie zwykł ani usiłował mówić, a tem mniej dochodzić, czy było ono takie czy inne.

Patrzył się Michał Mazur na życie wesoło, może i dlatego, że ono nie zwykło czynić czegoś podobnego w stosunku do niego. Tak to zresztą zazwyczaj bywa na tym świecie.

Gdyby ktoś Michałowi ważył się szepnąć chociażby słowo o jego wytrzymałości życiowej, to napewne naraziłby się conajmniej na śmiech, jeśli nie złośliwą odpowiedź, w czem Michał celował.

Michał zdaje się ani przypuszczał, by mógł być wytrzymałym — może — i zapewne z tej prostej przyczyny, że patrzył się na życie nie widząc samego siebie, swej pozycji społecznej i tej mizernej sylwetki, którą ludziska zwali krótko Michałem.

Nikt go nie zwykł traktować poważnie, ale też nie można powiedzieć, by on czynił inaczej w stosunku do innych.

Wszystko i wszyscy dla niego nie wyłączając siebie, byli mało ważni.

Specjalnie mało sobie ważył ludzkie sądy i słowa. Jeśli komu i czemu ulegał — to jedynie urokowi przyrody.

Nie można nawet powiedzieć, by zdawał sobie sprawę z jej piękna, a jeśli w głębi swojej duszy czcił ją i podziwiał — to czynił to raczej podświadomie.

Wszystko u niego w życiu opierało się więcej na podświadomości niż rozumowaniu.

Może i więcej jak pewne, że Michał Mazur nie zdawał sobie pełnej świadomości ze swojego własnego bytowania.

Taki już dziwny był i taki się zapewne urodził. Mimo podświadomego nastawienia ży-

ciowego, nie można powiedzieć, że nie lubił i nie zwykł myśleć i rozumować.

Interesowało go w życiu wiele, a specjalnie to wszystko — co można było ręcznym przemysłem wyczynić.

Sam był majstrem do wszystkiego. Od misternych koszyków z białej łozy wyplatanych do naprawy zegarka potrafił wszystko.

Taką już miał wrodzoną zdolność i talent w palcach.

Doskonale zdawał sobie sprawę z celowości i wyczuwał co można i winno być zrobionem, aby dana rzecz spełniała powinność, poruczoną potrzebą i ludzkim rozumem wyznaczoną.

Nie zwykł jednak Michał bawić się wiele w dociekania filozoficzne, a specjalnie mało interesowało go pytanie — dlaczego tak jest, a nie inaczej.

Michał brał życie tak jak było — prosto i nieskomplikowanie, co było zdaje się wpływem jego podświadomego nastawienia do życia.

Zainteresowaniami i planowaniem nie zwykł też Michał sięgać daleko.

Myślał jakoby to dzień przeżyć bez trosk zbytnich, a tych nie lubił — i bez uciążliwej pracy, która mu też nie wsmak była.

Zdobyć chleb na dziś małym wysiłkiem — to było jego zasadnicze wskazanie życiowe.

Jeśli zaszła potrzeba nie lenił się i do pracy cięższej. Jak ta popadło, to — wola boska, a tej się przecież trudno sprzeciwić.

Jak zatem widać, był Michał fatalistą, ale tym ostrożniejszym, który zwykł swojem stanowiskiem w sprawach jemu nie obojętnych. dopomagać losowi w wypełnianiu przeznaczeń,

Często też Michał — specjalnie gdy się burzą w czas żniwny zaniosło, stawał do ciężkiej pracy na Jaśka czy Bronka Zarugi polu, a wtedy jak sam to zauważył — jeno mu się snopki w rękach paliły.

Potrzeba i jej nakazy oddziaływały na Michała decydująco. Nie rozumował w takich wypadkach Michał Mazur, poddając się instynktownie siłom konieczności bez jakichkolwiek sprzeciwów.

Lubił jeno w tych niezbyt mu miłych okazjach mówić i umilać je sobie dowcipem, jako, że humor to miał zawsze, a na życie zwykł się patrzeć z tej urodniejszej strony, weselnej a żartobliwej.

Objektem zainteresowań była w tym wypadku praca i współpracujący, których umiał bawić nimi samymi, nie wyłączając swojej osoby.

Dzięki tym właśnie cechom — najczęściej Bronek Zaruga siłą go wyciągał z ciemnej, zadymionej od ognia pod dynarkiem, jedynej izby na pole — niechby ta ludziskom i jemu przypowiedział po swojemu — dla śmiechu.

Michał bogaczy nie lubił — bo według niego oni to zabrali, co on mieć powinien. Przecie wiadomo, że Pan Bóg wszystko stworzył dla wszystkich, jeno te chytrzejsze bogacze zgrabniej się uwinęli, uchwalili sobie sądy, adwokatów i co się dało dla siebie z hipoteki pozapisywali — jak powiadał.

Mimo niechęci do bogaczy lubił Michał Bronka Zarugę, bo to chłop był dobry, a specjalnie dla niego wyrozumiały.

To też na Bronkowe wyklątki i niby gburowate traktowanie, a właściwie tem skrywaną życzliwość — zawsze porzucał swoje zajęcia i szedł.

Michał mimo wrodzonego uprzedzenia do ciężkiej pracy nie był zasadniczo leniem. Zawsze znachodził sobie zajęcie, które lubił sobie rozłożyć w czasie i uprzystępnić ułatwieniami, a w tych był mistrzem.

Słabość czuł do koszykarstwa.

W jego rękach, kradziona na »strece« łozina zamieniała się w cudnie wyplatane krzesła, stoły, kosze ozdobne i inne naczynia tak babom miłe.

Koszykarstwo — to był jego fach wrodzony, ku temu czuł pociąg nieprzeparty. Wyplatał pod psychicznym przymusem, kierowany instynktem. Czy z tego przymusu też kradł łozinę na sztrece — to już pytanie.

Zdaje się jednak, że to ostatnie raczej z warunków materjalnych i swojego wyrozumowania o powszechności użytkowej tego, co Bóg stworzył.

Tę ostatnią możność życiową Michała ograniczał strach przed prawem i policją, której Michał bał się jak ognia i na wszelki wypadek wolał z nią nie mieć nic wspólnego.

W jego rozumieniu policja była tą nadzwyczaj przykrą plagą, uszczuplającą prawa ludzkie nadane przez dalekiego Boga dla wszystkich żywych.

Że jednak ta plaga ustanowiona, jak mówił, przez bogaczy na biedny naród była bliżej niż Pan Bóg, w którego wierzył na słowo, ale

mocnej pewności w to nigdy nie miał — to też starał się mniej korzystać z praw swoich jako człowieka do wszystkich rzeczy — dla wszystkich stworzonych.

W pojęciu Michała lepiej z pięścią nie mieć nic wspólnego. Wszelkie zaś prawo i jego organa w pojęciu Michała tworzyły tę mocną pięść — groźną.

Mawiał tedy często z głębokiem przekonaniem, że lepiej nie mieć przyjemności, jeśli po niej ma przyjść nieprzyjemność.

Ta zasada wyrobiła w nim spryt i chytrość z jaką dobierał się chociażby i do tej — koniecznej łoziny.

Mimo tych ostatnich zasad, jeśli chodzi o przyjemność i nieprzyjemność postąpił wręcz przeciwnie. Ożenił się poprostu. Nie zrobił tego z miłości czy interesu. Ot — instynktownie chciał mieć blisko siebie kogoś, komuby można się zwierzyć, czasem skląć, a co najważniejsze mieć do kogo mówić o tym dziwnym świecie, gdzie wszystko inaczej się składa niż winno.

W myśl praw tego wszystkiego co mówi, rośnie, szumi, zieleni się i wieje.

Zdawał sobie sprawę, że biednemu żenić się nie wolno, bo jak to nie raz i nie dwa podkreślał — dziadów już na świecie dosyć.

Że jednak w ścisłe rozumowania się nie bawił — to też i w tym wypadku postąpił w myśl nakazów instynktu.

Na instynkcie też polegało całe jego życie. Gdyby nie ten instynkt, to pewnie kości Michała rozwłóczyłyby kruki po polu, a w najlepszym razie przyswajałaby ich składniki wodna ziemia.

Michał wyczuwał podświadomie, że lepiej polegać na instynkcie niż rozumie, i to zdaje się zdecydowało o jego ożenku — wbrew rozumowym przesłankom.

Czy dobrze zrobił — czy źle — pytanie.

W każdym razie potrafił żyć z coraz to wzrastającą rodziną, a to musi być pewnym dowodem i sprawdzianem supremacji instynktu. Nie trzeba być filozofem, aby zrozumieć, że w warunkach materjalnych Michała — ożenek był wyrokiem jeśli nie śmierci — to przynajmniej uprzedzeń Michała do ciężkiej pracy.

Na szczęście tak źle nie było. Wprost przeciwnie, Michał z czasem ograniczał się raczej w pracy, nawet w gorącym czasie żniw — kiedy bogacze stawali się nadzwyczaj uprzejmi, jeśli z zachodu szła chmura gradowa.

Michał narastające dzieci, a prawie roku bez nich nie było — zaprawiał do trudnej sztuki życia.

Jaśka przeszkolił w dostarczaniu łoziny. Józek sprytny, a w nogach szybki — chodził na dworskie kłosy zbierać, a czasem to i snopek zachwycił.

Dziewczyny wyspecjalizowały się w zbieraniu grzybów, jagód i znoszeniu drzewa z lasu.

Młodsi skórowali łozinę i pomagali ojcu wyplatać grubsze rzeczy.

Życie Michała układało się niezgorzej.

Inna rzecz — że nie szło to życie po różach. Nie zawsze było co do garnka włożyć, a zimą większość musiała na piecu siedzieć, boć przecie okryć i odziać wszystkich było już ponad miarę możliwości Michała Mazura i jego instynktu życiowego.

Życie szło — a Michał walczył z coraz cięższemi warunkami — jeśli można mówić o jakiemkolwiek stopniowaniu w jego sytuacji.

Nadciągnął rok 1934. Różny dla różnych, dla Michała zasadniczy. Czy tragiczny, czy nie — pytanie. Otwarły się śluzy niebieskie i na kraj nędzy Michałów Mazurów spłynął deszcz rzęsisty.

Zaśmiały się z uciechy wszelkie bajorka i przykopy, zyskujące na postawności i pewności siebie.

Ruszyły mocne w sobie, triumfalne wody ku dolinom, gdzie wypoczywały leniwe, niewinne zdało się rzeczki i strumienie.

Wody rozpoczęły szalony tan śmierci i zniszczenia.

Po brzegach podkarpackich rzek piędy się ku górze coraz to niecierpliwsze, bardziej buńczuczne żółtawo-brudne fale, aż przekroczyły granice...

...A wtedy już — wynagrodziły sobie stokrotnie przymusowy spoczynek w obramowaniu zielonych brzegów.

Michał Mazur uśmiechał się w pomroce deszczowej — tłumaczył ludziom, że to przecie nic złego — łozina rośnie, kosze stanieją, a chleb można zjeść i z porosłego zboża — byle jeno był.

Sam go niewiele i w nienadzwyczajnem wydaniu zjadał, to też nie rozumiał nawet jak można robić tragedję z tego powodu, że gorsza będzie mąka z porosłego żyta. Ludzkie po-

wiadał grymasy i nic więcej. A jak tam święci chcą w niebie użyć — to niech ta. Uprzykrzy się im i to także. Przecież niejeden z nich dobrym grzesznikiem był, a jak mu się sprzykrzyło — to na świętego się podawał.

Pomawiał świętych o złośliwość, bo przecie Pan Bóg dobry jest, anieli też, jeno te biskupy tak się sprawują, jak i tu na ziemi.

Powoli jednak i z ust Michała znikał śmiech.

Wody spokojnej dotąd rzeczółki biły już w tor kolejowy — tą jego sztrekę, gdzie się w łozę zwykł lewym sposobem zaopatrywać.

Oglądnąwszy, zauważył ze strachem przeciekanie wody przez nasyp kolejowy.

Spojrzał na swoją budę, bez której zostawał z dziećmi na łasce deszczu, wiatru, a potem zimy...

Przeraził się pewnie po raz pierwszy w życiu.

Skoczył do domu umacniać niski brzeg zejścia od domu.

Zwalił wierzby przydrożne, przybił je kołami do ziemi i z całą dzieciarnią wprzągł się do umacniania nasypu kamieniami i ziemią

Michał przynaglał nadsłuchując szumu wód zza toru.

Odetchnął spokojniej widząc, że spóźniony pociąg przeszedł zagrożone miejsce i znikł za górą.

Deszcz jednak padał bezustannie, a poszum wody zyskiwał na sile.

Michał posłuszny instynktowi pracował bez przerwy. Zdawał sobie sprawę, że jego odosobniona chałupa zniknie w odmęcie, o ile zostawi nieumocnione zejście z pagórka, na którym przodkowie przezornie tę budę wystawili.

Że istniało dziś to miejsce słabe, umożliwiające wejście wody i rozsadzenie wzgórza, to była jego wina.

Rozum nakazał mu ułatwić sobie wynoszenie łozy, a instynkt niestety nie podszepnął, że tor kolejowy nie stanowi pewności bezpieczeństwa.

Odrabiał tedy swoją niby winę.

Doszedł go turkot wozu od strony stacji kolejowej.

Stach Zaruga jechał z miasta. Drugi po Bronku bogacz we wsi, dumny z siebie a zarozumiały — nic poza złośliwością nie miał dla biedoty.

Nie lubił go Michał — bo i jakże.

Spojrzał Michał na tor kolejowy i aż się uśmiechnął wspomniawszy, że tor mógłby pęknąć, a Stasio popłynie z rybkami do morza, bez względu na to, czy toby mu się podobało czy nie.

Wtem z przerażeniem spostrzegł — iż z toru spływa struga brudno-żółtej wody. Tor pęknął. Michał pochwycił za kosze, by poczynić ostatnie umocnienia. Spojrzał na wóz Zarugi — a ten zbliżał się do fatalnego miejsca przysłoniętego łoziną. Krótka walka rozegrała się w duszy Michała.

Z dna duszy wychynęły się atawistyczne instynkty gromady. Pomóc chłopu bez względu na to, jaki on tam był. Instynkt obrony bliźnich — prainstynkt państwowy, przejawiający się pojęciem myślowem — jeden za wszystkich, wszyscy za jednego — ratuj swojego, zwyciężył przesłanki rozumowe, nakazujące widzieć jedynie siebie.

Michał Mazur pchnięty instynktem prachłopskich tradycyj skoczył — porzucając kosze — przestrzec Staszka Zarugę.

Biegł przeciw ruchomemu wałowi wód idących od toru ratować chłopa, zadokumentować honor wiekowej solidarności gromady. Wołaniem przestrzegł na czas Zarugę, ale zapóźno dla siebie.

Taran wód uderzył i pochłonął zuchwalca.

Triumfalna fala poniosła stwór człowieczy, co zwali go ludzie Michałem Mazurem.

Żył Michał dzięki instynktowi przyrodzonemu, a dzięki odziedziczonym instynktom gromady przegrał. Czy aby przegrał — odpowiedzieć może chyba ten wiatr, co do izby Michała zaglądał zimną jesienią i w gorszy czas zimowy, patrzył się i zaglądał ciekawie — mógłby powiedzieć. Jeno że to tylko wiatr — i nic więcej.

A o życiu i prawach jego wiatry ci nic nie rzekną. Trza samemu przeżyć, a chłopskie przeżyć życie — to bardzo wielka rzecz.

DZIAŁ LITERACKI

MARJAN KUBICKI

MALOWANE NA SZKLE

A jest tak cicho,
że w skroniach rozsadza krzyk! —
— o szaleństwo.

Przywala cisza olbrzymia
i boli wytężeniem nadsłuchiwania —
czy co? —
— — — — — — — — — — — —
biało, — biało —
śnieg, jak konwalja, miły
na twarz i oczy...
I świat się cały...
w tych oczach wybiela — ciszeje —
i serce coraz cichsze — małe.

A — — —
echo serca własnego
przekracza granice — być!

Drzewa młodnieją białe,
wonieją sosnowo — zielono...
Śnieg na gałęziach,
jak opłatek na Pierwszej Komunji...
i coraz szerzej, i coraz głębiej,
i coraz bliżej — przez serce — świat!

Nienasycenie zasłuchania
działa nabożeństwem,
by zrozumieć —.

Na niebie słońce
olbrzymieje,
jak Hostja!

Bieleje w bieli bielą biało —
ziemia, drzewa i słońce —
wszystko się w oczach pomieszało —
przemieniło — dokonało —
— »a słowo ciałem się stało« —
— — — — — — — — — — — — —
Nogi się same niosą,
by pójść i pójść...
i gdzieś w leśnej gęstwinie zsosnowieć,
zdrewnieć — na choinę śniegiem białą
i czekać —
aż pierwsza gwiazda zwiastuje,
że
Człowiek na świat przyszedł.

EMIL ZEGADŁOWICZ

WIOSNA W BESKIDZIE

(WYJĄTEK Z POWIEŚCI »ŻYWOT MIKOŁAJA SREBREMPISANEGO«)

Nadeszła wiosna!

Wiosna w Beskidzie!

Zagrały, przygrzały ciepłe wiatry po szczytach gór; śnieg stopniał — połyskliwą siecią ruczajów rwał ku dolinom.

U stóp gór szkliły się zalewiska modre pośród zieleniejących nagwałt szuwarów.

Wici słoneczne rozzłocone po wszystkiej ziemi!

Pospolite ruszenie kwiecistości wszelkiej, wonności zielnej, listowienia bujnego.

Podbiały pierwsze — na ochotnika! — rozstawiły czaty kwietne, żółte, bezlistne na wyorzyskach, pokładankach, miedzach, fosach, zboczach i upłazkach gliniastych.

Tuż za niemi przylaszczki i zawilce.

Białe wiece pod leszczynami i wszelakiem poszyciem — liljowe sejmy u wykrotów podmytych.

Gdzie jeno wilgotność kąpie korzenie łącznych traw — kaczeńce tłuste panoszą się gęsto i gwarnie.

Pochyliny zpierwoszczone docna!

Z pośród mięsistych, kosmatych liści bladozielone łodyżki dźwigają cały baldachim żółtych, miodnych kieliszków kwietnych — istny pęk kluczy osobliwych, oczywiście: osobliwych, ba — niebiańskich!

W zakamarkach cienistych cudni się miodunka-płucnik — z kształtu do pierwiosnka podobny (jeno liście inne!), a tem cudaczny, że na jednej i tej samej łodyżce niebieskie i różowe kwiaty dźwiga w sąsiedzkiej zgodzie.

Traw i ziół coniemiara! — zielone, szumne, pachnące.

Lasy liściaste śpią jeszcze.

Zaledwie poszycia zaczynają się budzić, przeciągać, a swoją mową przyrodzoną przemawiać —: leszczyny, ostrężnice, tawuły — i piewszy z pierwszych! —: wilcze łyko z kitą zieleni palmowej u szczytu gałązki, z okołem różowo-liljowych kwiatów, wyrastających tuż przy korze, z niej raczej, — kwiatów wonnych i kształtnych niczem bez.

Aż tu i dogrzenie wzmaga się z dnia na dzień, — niepokój radosny szumi i burzy się jak wino; — tak w zadyszeniu, w pośpiechu, w robocie wartkiej, pracowitości krzątliwej — przysposabia się ów cud nad cudy: nagłe zzielenienie drzew — w noc jedną postanowione, w jeden ranek dokonane.

Nie do wiary!

Gdzie pozimowe, martwe gałęzie zaplatały się umarłe pod słońcem żywem wczoraj! jeszcze wczoraj! tam dziś bujna, młoda, prześwietlona wygrzewa się zieleń, - jak motyl rozkłada skrzydła delikatne, żyłkami wiotkiemi skreślone potrzebnie; wiatr je suszy, wiatr je pieści —

Niebo czyste, błękitne — po widnokręgu blado-modrate, niebo żywe przelotem chmur zwiewnych, bogatych w żyzny, srebrny deszcz —

Ziemia wypoczęta, rześka, gadatliwa, faluje oddechem zielnym jak morze —

A upojna wonność jak mgła różowa unosi się nad górami — jak dym kadzidlany — — święto — święto — święto — —

* * *

Na rozległem pastwisku przy grapie grodziskowej pobok skotnicy jałowcowej — pasą się krowy pierwszy raz w tym roku.

A już to pierwsze ze stajni po zimowli na zieleń nową puszczanie bydła — uroczystością jest obyczajną i nieladajaką.

Rankiem przed wygonem kropi gospodyni gadzinę wodą święconą z trzechkrólowego święta przemyślnie na ten cel właśnie przechowaną.

Na rozżarzone węgle sypie kadzidła niuch spory — aby złe w dymie świętym, w dymie kościelnym przepadło, aby dobro już niezachwaszczone pleniło się suto i pod niebo rosło pszenicznie.

A zaś przedtem krowy, ciołki i cieliczki akuratnie i mocno wychędożono —: czyście się też śklą, — przy zadzie iście śklą — plecami bezsierściowemi, — bo tam gdzie zimą łajno narosło, — teraz przy forsownem do siódmego potu zgrzebieniu i szczotkowaniu, razem ze sierścią — Boga chwalić, że nie ze skórą! — odpadło.

Rogi umyte — a zwłaszcza odprószone i wydmuchane przyroże wklęśniętą czarę tworzące, w którą rad pył wszelki, paproch, śmieć i plew się kryje.

Racie, ogon — wypucowane jak się patrzy; — dojki, wymię — jednem słowem! wszystko! Tylko całować!

No! — teraz w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — wyganiaj Wojtek, wyganiaj!

Bo, oczywiście, i w porębiańskiej stajni ten sam — nie inny proceder panuje!

Antonina Brańkówna, Psiąkrew vel Siwula,— gospodyni? — ależ! — nie przeoczy — i ona ni jednego zwyczaju, ni jednego obrzędu wsioskiego!

Ona do tego pierwsza!

Ona pierwsza!

To jej wiara, to jej nadzieja, to jej, naprawdę, miłość, wielka, ziemska, ostateczna miłość.

Poważnie też, solennie przykazuje:

— a uwazowuj, Wojtek, bo to piersy roz, zeby sie nie zgrzoła gadzina, zeby nie skokała wiela — pilnuj sie, cało odpowiedzialność na tobie.

— eeeej — pokrzykuje Wojtek — ostatnią krowę od żłobu odwiązując — pobrzęka twardo łańcuch o dyle, niczem hasło: marsz!

eeeej — ścio — ścio — ścio ściochaaa —

Drzwi stajenne otwarte.

Przy drzwiach, a już od pola, gospodyni stoi: przegląd generalny!

Pierwsza wychodzi Kwiatula — najstarsza, wielce mleczna — z wieku jej i godności ten zaszczyt pierwszego przekroczenia progu należny;

— przez sześć pełnych z sutym okładem miesięcy tylko człowiek go przekraczał!

Antonina uważa pilnie, czy też krowa racią o ten próg graniczny nie zawadzi — ? — ale nie! — — ostrożnie przednie nogi podnosi — tylnemi zamiata, jak to krowa, ale tak umiejętnie, że ani tyrknie progu! — to dobrze! — dobry znak!

Przeżegnała ją Antonina krzyżem świętym.

Za Kwiatulą idzie Magda — oczko w głowie Antoniny; — stara krowa, bo stara, ale ślicznotka! — podgarle zwisa omal do ziemi — ślepia cudne, duże, wilgotne — papa różowa — ino jeno wadzi — : róg (a ma modę krótkorożną — ku sobie półkolem zwróconą) otóż róg jeden nadłamany — założyła go kiedyś niezręcznie i lekkomyślnie za żłób — chrast! — i już: — cóż robić — nie przeszkadza to ani w żerności, ani w ćwiękowaniu ani na wydajność mleka nie wpływa nic a nic — ale zawszeć to despekt i ubrzydzenie.

Poważnie, chwiejąc się rytmicznie dużym, poczciwym łbem wyszła Magda za Kwiatulą (o próg nie zawadziła).

Przeżegnała ją Antonina krzyżem świętym.

Za Magdą niecierpliwie pcha się żwawa, zadzierzysta Łatka; mała to, »czerwona« krówka, z kupnego cielęcia wyhodowana, ponikwianka rzetelna, swojka i góralka — mało jedząca i byle co, mało też mleka dająca i byle jakiego.

Pomiędzy Łatką a Antoniną istniał jakoby antagonizm wrodzony, współzawodnictwo, bagatelizowania; — z jednej strony (człowieka) żal nieuchwytny, że ta rodowita krajanka nietęgo się spisuje, z drugiej strony (bydlęcia) jakieś traktowanie »per nogam«, jakieś: co ty mi tam będziesz brzęczeć nad uchem, znam cię! tyś tak samo ponikwianka jak i ja, nie przewodź!

Nie odmieniec?!

Przytem, nadobitek, — bodła.

Z lada powodu w złość niedobrą popadła — już też łeb ku ziemi schylała — ślepiami złemi łypała, a ku nogom sprężystym energję i zaczepność niosła.

Wszelako — człowiek zwycięża!

Poradzono sobie, spętano nagłość, okiełzano wybuchowość raptusowatą.

I jak jeszcze!

Z denka beczkowego, napoły przepiłowanego, uczyniono coś w rodzaju maski (lecz bez otworów ocznych), którą na rogach Łatce zawieszono, — tak, że jeno bokiem na świat Boży patrzeć mogła — nawprost — nic!

Zmniejszało to zakres przyczyn gniewu — oraz nie pozwalało wywrzeć go na czemkolwiek czy kimkolwiek.

Łatka z wrodzonej przekory — udaje, że sobie niewiele robi z tej przemyślności człowieczej — spod daszku półdenka zerka wyzywająco: całujcie mnie.....

Nic jednak dziwnego, że w takich przeszkodach omotana, cicho i złośliwie — a myślami zezującemi zajęta — potknęła się o próg cztery razy

— skoda, ze nie pieńć —

dogniewała Antonina; — oczywiście, jak zre-

sztą zawsze, — irytacja wpłynęła tu na wnioskowanie ujemnie, odebrała złośnicy jasność sądu i wpędziła w błąd rachunkowy.

Bo i gdzież ta piąta noga na piąte potknięcie? sami powiedzcie!

Z niejakiem prze wycięźeniem — lecz, że to już nakaz przepisany taki — przeżegnała Antonina Łatkę krzyżem świętym.

Wreszcie za Łatką kwapi się porykując buczliwie młódka Kaliną zwana.

Jałowiła długo, — ale się też rozrosła nad podziw urodziwie.

Byk — nie krowa.

W krzyżach, bez uroku, siodlasta, wymię jak skopiec obszerne, mleczne, — dojki ino ścisnąć, a tu już mleko siur, siur, jak deszcz z rynny.

Pociecha wielka; — pociecha i duma! — przecież to własnego chowu, — po Magdzie i licencjonowanym buhaju od Kowalczyka, co się to na niego Błazek mówi.

Idzie tedy Kalina — przednie nogi rozstawia szeroko, a między niemi kloc u szyji uwiązany chojda się i wlecze burkliwie po dylach stajennych. Młoda, żywa, lotna, wartka, psotna, samowolna — więc stąd ta przestroga; — z nią oczywiście o biegu i skakaniu mowy już niema! Kloc szybkim ruchem rozbujany raz wraz po kolanach uderzy (a kloc też to, kloc!) — odechce się figli.

Żal trochę tej Kaliny, bo i żal — ale to dla jej dobra, — nie daj Boże zgonienia, zgrzania, a co gorsze, napicia się na zdyszanego wody — zapalenie płuc gotowe! —

Nabożnie i z westchnieniem przeżegnała ją Antonina krzyżem świętym.

Za gadziną idzie Wojtek z jałowcowem biczyskiem w garści, — boso, — nagawice zagięte wyżej kolan; nożyska brudne i zaciorane, aż czarne, jak ziemia święta.

Na rozczochrany łeb przewiesił kapucę workową, płat zgrzebnego płótna zwisa po pięty; worek długi, Wojtek kurduplowaty, a cóż to, cóż to? — na deszcz się zanosi? — e, nie! — ale na wszelki wypadek; i taki to już obyczajnie ten strój pasterski, przynależny godności; ornatowy nawet, — owszem!

— piękno, bezuroku, gadzina — myśli się chwalebnie Antoninie.

— ze ji tez tako uferma, jak i ten Wojtek nieprzymierzający przewodzi; — kabłoncny, krzywy, wolowaty, łeb jak ceber — poprowdzie: obraza! — ale co-ta! pastyrz ś-niego piersy, galanty trza pedzieć, doskonale znajęcy fach —

Tak się chwalebnie Antoninie myśli.

Krowy, uroczyście przeżegnane, wyszły na podwórze; — głośno sapiąc obwąchiwały ziemię wiosenną, porozumiewały się z nią uszami, nozdrzami, patrzeniem; — a w krokach nachwiewały się (— tyj Kwiatuli to sie nogi w kolanach trzęsom —) — nie dziwota, — odzwyczajone od chodu i stąpania wolnego tą długą porą przyżłobnego zimowania.

eeej — ścio — ścio — ścio — ściochaaa —

Zaganiał Wojtek krowy ku górze pod stodołę.

— zebyś zaś wrócił na jedynostą, bo trowe jesce usierpić mos na młace —

— nno —

— to se boc! — a teroz w imie Boże —

Monituje bez przerwy Antonina.

Za wygonem patrzy; — wszystko zda się jej w porządku (— zebyk tak nie dopilnowała — byłoby tyz, było! —); — odchodzi do zajęć zwyczajnych — ku kuchni odchodzi.

Raz po razu się ogląda, co się tam dzieje pod stodołą.

Ano — nic; — zwyczajnie — skubią krowy trawę — Magda rozparła się szeroko — szyję wyciągła — porykuje —

— wykwolo wiesne, tak se niebożątko trowe obrykuje — a ryc se, ryc — byś sie ino chowała pieknie —

— — — — — — — — — — —

Wyczernił Torek łeb z sieni — spojrzał — popenetrował — ku krowom szczeknął, — powitanie, czy przestroga —? — Kto go tam wie, co sobie taki myśli.

Przekroczył schód — ułożył się pod lipą na piasku.

Ciepło, much niema, tylko te pchły psiamać dokuczają, — grasują w lesie sierści, jak po swojem.

— — — — — — — — — — —

Mikołaj przy całej tej sprawie wygonu wiosennego obecny — podreptał z Wojtkiem na pastwisko.

* * *

Jako się rzekło:

— od gminnego pastwiska odgraniczała ugór pastewna skotnica jałowcowa.

Tam-to w wonnych cieniach jałowców zbierali się pasterze owocześni na rozmowy, zabawy i igry.

Rej wodzili wśród chudoby zahukanej, głodnej i zniemrawionej —: Antek Danik, Błażek Kowalczyk, Jasiek Fila, Drugi Jasiek Śląski, Szymek Gawroński i Maciek Odrowąż.

Cała herśtoska banda.

Rej wodzili — przewodzili — dowodzili.

Cuda o nich wolowatym zająkiem opowiadał Mikołajowi Wojtek Moskwik — z rozśmianym zachwytem i tem podniecającem ciekawość: — »ja! uni! — jej!!« —

Ochota wzrastała w chłopcu — aby tam do nich! — choćby raz!

Lecz jak tu ojcu o tem powiedzieć! — Tak daleko — na pół dnia — ani, ani —

Tak tedy cichcem, milczkiem, chyłkiem, ukradkiem dnia jednego o godzinie rannej z Wojtkiem Moskwikiem za krowami na grapę się wybrał.

Ejże też dzień śliczny! pogodny, rześki, wiosenny, niebieski!

Serce bije śpiesznie z tej radości idącej zewsząd, z tej swobody — coprawda kradzionej i pozaocznej — lecz co tam! teraz swoboda —

Króciutka żałość, że może ojciec.... Mój Boże! — cóż się i stać może chłopcu pod strażą nieba i ziemi —?! —

Wyszli na skotnicę.

Krowy biorą się migiem do skubania niskiej, wiotkiej trawiny; szczypią ją tuż przy ziemi — rwą chrapliwie.

Na skotnicy porębiańskie zbijaki — choć to przecież ciepło — ognisko rozpalają z suchych jałowców, — a, że się i żywy przydarzy — no-to naco w ręce lazł —? — teraz skwirczy i skwarzy się boleśnie — więcej z niego dymu niż ognia.

Szymek Gawroński, że to do śpiewek walną ochotę miał zawsze, układał słowa i pokrzykiwał:

pol-ze sie łogienku
polze mi sie mocno —
abyk se nie zmylił
mojom dróge nocnom —

— cosik ci sie łodmieniło — mówi Odrowąż Maciek — je dy dzień tero —

— no-to tak ino w śpiewce — tłumaczy Szymek —

— dzis! zauważył Jasiek Fila — dy Wojtek przygnął dworskie —

Zaczęli wołać nawyprzodki:

— Wojtek — jąkac — buuu —

Śmiali się opętanie.

— je — dy i Mikołoj jes — dzicie go? — wskazuje biczyskiem Śląski, co go to ślakcicem mianują, bo ojciec jego przygłupie, nijakie chłopisko wszystkim wciąż prawi, że ze ślakty się wywodzi; — za haraburdy Padlewskiego byli Ślascy, panowie wsiowi, — owszem, to prawda; ale, żeby znowuż ten porębiański Ślaski..., a wreszcie, gdyby nawet — czyż to nie wszystko jedno?! —

— a cóz un tu kce ś-nami? — rzecze Odrowążów wypędek nad wiek wyrośnięty, smukły, kędzierzawy i płowy —

— nie jego rzec — burknął Antek Danik —

Tacy niechętni.

Zbliżył się do nich Mikołaj — zawstydzony w sobie — choć tego nie pokazuje: całe niby śmiały i pewny —:

— jak sie mocie —

Samo mu sie po beskidzku mówi.

— no dy sie ta momy — odpowiada trzech.

Reszta milczy — na brzuchach rozwalona, biczyskiem ogienek przygarniają ku niemrawemu palenisku.

Płonie ta waterka, tyle co psu w zębach się świeci — akurat, nie więcej.

Kilka zalęknionych języków płomieni i kupka jasnego popiołu.

Cała parada.

A oni tak przygarniają nadgryzione ogniem czarne zuchelki drzewne, — a piętami bosemi chwalą się niebu wysokiemu.

Milczą; nic —

Dopiero Kowalczyk, który się po bliższej sąsiedzkości lepiej z Mikołajem znał — odsunął się nieco od Fili; — »pąksie« — do niego powiada, a Mikołajowi przez ramię rzuca dwa ważne słowa:

— siadoj ś-nami —

Dla tem dokumentniejszego zrozumienia — dodaje —:

— abo se i legnij —

Antek z nieukontentowaniem strzyknął śliną przez zęby; był mistrzem w tym trudnym kunszcie; wzbudzał zazdrość i podziw.

Mikołaj usiadł pośród pasterzy.

Ogienek — niepotrzebny na ciepłym dniu — tak sobie tlił ino od śpasu —

Dym wątły, mgła raczej modrawa — wałęsała się pośród jałowców. —

Pasterze zaczęli rozmowę:

— downi były haw tyz zbójniki —

— abo ich to tero nima? —

— je, cota teroz! — to ino paskudziorze, ale pierwi —

— no cos?

— a wele Zebrzydoskiej Kalwaryje — wiela ik było? — mało? — kupa —

— je, to ta downo —

— pewnie ze downo; — godają ze śnik Boryose som i Kiznozy tys —

— godają, bo godają, cej co zgodają — samoto o Janosach i Uwerach —

Najwięcej Szymek wiedzieł —:

z Bulowic tys tych zbójników wysło setnie — wyśli se roz na Jawornice ka łowce pasają, i tamoj, wiecie, bace wzięli i chlupli nim do żyntycy i w nij go uwarzyli; mało mieli — pado jeden śnich do juhasa: »upiekemy cie«; cóż mioł zrobić? — pado: »no to mie upieccie, waso wóla«; na to drugi zbójnik pokazuje na wielgom trombite, którom ten juhas mioł wele wachy i pyto sie go: »cos ty to mos?« — »no mom« — godo juhas —; »wiem ze mos — ale co« — »trombite« — »a cóz z tem robis?« — »grom« — »gros? — no to zagroj«; na to zwyrtnył się wom mój juhas w strone Kicory i zagroł jak łodmieńcy:

spolnicy, spolnicy, bo tu som zbójnicy,
bace uwarzyli a syr na górnicy!

Jak to zbójniki usłyseli, tak sie powściekali, tak sie zeźlili, wzieni, upiekli chłopaka; — ale cós — usłyseli to trombienie targanickie chłopy, z kosami i cepami huzia na Jawornice; — zastali jesce zbójników, tak gnali —

— no i co?

— pozabijaii wszyśkich —

— skąd wies? —

— w chałupie gadali — matka moja som z Targanice —

— jesce! — opowiadoj! —

— Mieli ta być tyz zbójowie w Roczynach na Groblastej — straśnie bogaci; — jakosik sie banda rozleciała, a te piniondze zakopali — niejeden ik sukoł, ale cy to wiedno ka akurat som —

— dy na Grodzisku tyz mo być gruby piniondz zakopany — na samym wierchu —

no co! — wiadomo byli haw zbójniki, co stądtela na węgierskom strone chodzowali; — a jak ta i co robili — to ta ik rzec — potem dukaty znosili, a co ka biedniejsy był we wsi, to mu dawali, abo na krowe, abo na wiązbe — no jak trefiło, co ta ka kto potrzebował; reśte przepijali, albo zakopuwali po lasach — to ta i som zakopane —

— ale ludzi zabijali wtrącił Mikołaj —

— no to cóz? niepilich nienaskich —

— wszyśko jedno — zawdy —

— uni ta miętkiego serca nie byli — z miętkim sercem nie obstoi —

— ja, rekt mos — abo jak to Sabuda stary opowiado —

— un ta stary, bedzie mioł ze sto lot —

— tyla ni mo, skąd by zaś wzion —

— ale siedzimdziesiąt bedzie mioł —

— cheba

— to un pamiento jak chłopy panów rznyli —

— kasik pod Tarnowem —

— róznie, ale tam nowięcy —

— kiesik u nos w chałpie tyz był, niby ten Sabuda — godo i godo, ale go matka skunierowali ze po próżnicy godo i brzyćko, ze Boga w sercu ni mo —

— un ta to rod łopowiado — pado — piłom my rznyli —

— za co? — dlaczego? —

— nierek tego słuchos Mikołoj?

— za co? —

Mityguje Kowalczyk:

— je, dy ta un nie pon, majom ta we dworze wiency, to prowda, ale nie tak, ze ka ino wkoło spojrzys, to wszyśko jednego —

— za co — pytos? — bo chłopy ni miały co do pyska włożyć, głód był jak wciórności, a panowie zboze w sąsiekach mieli, a nie dali —

— prowda; tak miało być —

— Kto ta wie jak było! —

Pożałował w sercu głodnych Mikołaj, a w głowie nie mógł usprawiedliwić tego, »rznięcia piłom«; — łzy go dusiły; postanawiał, że nie »kto ta wie jak było» — ale musi wiedzieć, musi, jak naprawdę było.

DZIAŁ KRONIKARSKI

30 LECIE PRACY JĘDRZEJA CIERNIAKA. W grudniu ubiegłego roku obchodził w Warszawie 30-lecie swej działalności na niwie teatrów ludowych, znany i zasłużony działacz oświatowy i regjonalista, Jędrzej Cierniak.

Jędrzej Cierniak urodził się we wsi Zaborowie, pow. brzeskiego (woj. Krakowskie), w r. 1886. Gimnazjum ukończył w Bochni, studja uniwersyteckie w Krakowie, w latach 1914 — 1917 walczył w Legjonach, następnie był Inspektorem Gimnazjum Wojciecha Górskiego w Warszawie, a od roku 1929 pełni obowiązki Ministerjalnego Wizytatora Oświaty Pozaszkolnej. Jako nieodrosły syn wsi polskiej, wysiłki swe i talent artystyczny poświęcił przedewszystkiem sprawie wsi, wytyczając kierunek pracy kulturalno-artystycznej na wsi.

Już jako uczeń gimnazjalny zakłada Jędrzej Cierniak w rodzinnej wiosce zespół teatralny, jeden z pierwszych tak nielicznych jeszcze w Małopolsce; z zespołem tym uzyskuje I. nagrodę na Konkursie teatralnym w Krakowie, urządzonym z okazji uroczystości anczycowskich, za wystawienie »Łobzowian« na scenie teatru im. J. Słowackiego.

Jako akademik rozwija dalej swą pracę, biorąc żywy udział w działalności organizacyj akademickich. Na terenie Warszawy obejmuje przewodnictwo Związku Teatrów Ludowych, a od roku 1929 przewodnictwo Instytutu Teatrów Ludowych, jako jego inicjator i współzałożyciel. Z ramienia Instytutu redaguje miesięcznik »Teatr Ludowy«, a w październiku 1934 r. obejmuje również redakcję miesięcznika »Teatr w szkole«, wydawanego przez Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Prócz licznych wykładów na temat Teatru ludowego, wygłaszanych na kursach społeczno-oświatowych i teatralnych na terenie Polski, referatu na II gim Międzynarodowym Kongresie Sztuki Ludowej w Belgji (sierpień 1930 r.), prócz licznych artykułów o charakterze ideologicznym i metodycznym, opracował Jędrzej Cierniak inscenizacyjnie, kładąc podwaliny pod właściwy, rodzinny repertuar Teatru Ludowego — »Szopkę krakowską«, »Wesele Krakowskie«, »Legendę o Żołnierzu tułaczu«, »Hanusine Wesele«, oraz przepiękną »Franusiową Dolę«.

Związki Regjonalne Teatrów Ludowych wspólnie z Instytutem Teatrów Ludowych uczciły swego przewodnika na uroczystości jubileuszowej w dniu 1 grudnia 1934 r. w Warszawie, obecnie przygotowuje z inicjatywy Małopolskiego Związku Teatrów i Chórów Ludowych w Krakowie, obchód jubileuszowy również Ziemia Krakowska, z którą Jędrzej Cierniak tak ściśle jest związany sercem i pracą.

TEGOROCZNĄ NAGRODĘ Polskiej Akademji Literatury dla młodych (3.000 zł.) otrzymał literat krakowski Jalu Kurek za powieść o nędzy chłopskiej p. t. »Grypa szaleje w Naprawie«. — Obszerną recenzję z tej książki podamy w następnym numerze.

NOWE DROGI POLSKIEGO ROLNICTWA

Dnia 15. I. 1935 r. wygłosił p. minister Poniatowski w komisji budżetowej programowe przemówienie o planach pracy Funduszu Obrotowego Reformy Rolnej, które z radością przedrukowujemy w całości (»Gazeta Polska« z dn. 16. I. 1935 r.).

»Przedstawiając plan pracy Funduszu Obrotowego Reformy Rolnej i prac związanych z całością urządzeń rolnych, pragnę przedewszystkiem zwrócić uwagę na tę szczególną cechę, która wyróżnia pracę Polski w tej dziedzinie od zamierzeń, wykonanych już częściowo w innych krajach Europy, u naszych sąsiadów.

Już p. referent powiedział, że stawiamy nadal na indywidualne gospodarstwa. Ta cecha wydaje mi się tak ważną, że pragnę jej parę słów poświęcić. Otoczenie nasze próbuje przeskoczyć przez etap rozwoju gospodarczego, opartego na indywidualnem gospodarstwie i ucieka się do narzucenia form zbiorowej gospodarki. Dotyczy to taksamo rosyjskiego kolektywu, jak i Niemiec i Włoch, gdzie mamy do czynienia z narzuconą przez państwo formą współdziałania zbiorowego, tak, że pewne granice indywidualnego gospodarowania zostają zatarte. My przywiązujemy olbrzymie znaczenie do przyrodzonego i do pewnego stopnia tajemniczego stosunku między człowiekiem pracującym na ziemi, a tą ziemią. Ten

stosunek nie da się pomyśleć jako rzecz trwała w pracy skoszarowanej, zbliżonej do czynności fabrycznych. Zupełnie inny wytwarza się stosunek na tle warsztatu zespolonego z jedną osobą, z człowiekiem wykonującym bardzo skomplikowane zabiegi.

Zdawać by się mogło, że powodujemy przez to może pewne opóźnienie w rozwoju technicznym. Sądzę, że trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że tak jest. Rezygnujemy z zastosowania szeregu technicznych zdobyczy, ceniąc wyżej od nich te indywidualne wartości psychiczne, które przez ową b. rozwiniętą technikę byłyby starte. Dopiero w dalszym etapie może być korzystne łączenie się w pewne doraźne zespoły dla niektórych tylko czynności gospodarczych, jak np. organizacja zbytu, rozwój spółdzielczości i t. d., co daje niewątpliwie możność złagodzenia ostrego egoizmu ludzkiego na tyle, ażeby także pewne czynności wytwórcze mogły się odbywać w zespole przez korzystanie z doskonalszych narzędzi pracy, rozpłodników, lepszej formy produkcji nasion, które to rzeczy są osiągalne bez zaparcia odrębności gospodarstw. Ani o krok dalej w tej chwili nie idziemy.

Wartości indywidualne występują b. wybitnie nawet przy komasacji. Zabiegi, które robimy, dadzą się niewątpliwie ostro krytykować z punktu widzenia czysto gospodarczego. Wkładamy trud techniczny i koszta od 15 do 40 zł. na ha, a więc jednoroczną lub nawet paroletnią rentę w proces dokładnego wymierzenia i ocenienia, jakiego rozmiaru gospodarstwo powinien mieć gospodarz w przyszłości. Zdawałoby się, że gospodarka narodowa nic na tem nie cierpi, że Bartosz coś stracił, a Maciej zyskał. Gdyby w ten uproszczony sposób patrzeć na to zagadnienie, praca byłaby kilkakrotnie tańsza. W naszej pracy gros kosztów polega na ustalaniu starego stanu posiadania nietylko pod względem rozmiaru, ale i wartości każdej poszczególnej działki, którą szacujemy z całem namaszczeniem. Postępujemy tak nie ze względów czysto gospodarczych, lecz liczymy na to, że w ten sposób stworzymy warunki pomyślniejszego niż dotąd rozwoju gospodarczego spowodowanego wartościami psychicznemi, które ten system pociągnie za sobą. Niekiedy wyrażane są obawy, że rozluźnianie w ten sposób spólnoty wsiowej odbije się niekorzystnie na psychice gospodarza. Ja należę do tych, którzy inaczej patrzą na te rzeczy. Sądzę, że dodatnie strony zbiorowości zamkniętej w ciasnej, zbitej wsi są dostrzegane, a natomiast nie widzi się stron ujemnych, mianowicie dominowania większości, często ociężałej i nazbyt konserwatywnej nad jednostkami. Wówczas staje się niesłychanie trudnem jakiekolwiek przodownictwo, wysuwające się na czoło przed tą zbiorowością. Prócz tego sam fakt odrębnego osiedla, swojej sadyby, swojego ogródka i obejścia, co według zwolenników wsi powoduje izolację i zdziczenie, mojem zdaniem raczej daje pogodę i spokój.

Dlatego to stawiając na tę kartę indywidualności, nie cofamy się przed wydatkami o wiele większemi, niżby to mogło się wydawać słusznem z prostego gospodarczego pojmowania rzeczy.

Drugą rzeczą, którą należy podkreślić, to organizacyjna przeszłość obu ministerstw. Rozdzielenie tych aparatów powodowało pewne trudności współdziałania, a połączenie ich, które zczasem nastąpiło, było początkowo mechaniczne, trzeba bowiem odpowiedniego czasu i wyraźnej tendencji w tym kierunku, aby dojść wreszcie do pożądanej koordynacji. Dążymy do tego zupełnie kategorycznie. Ujemne skutki braku tej koordynacji minister ilustruje przykładem z dziedziny meljoracji. Jeśli cel meljoracji zgóry nie jest znany, to rezultat bywał niekiedy taki, że wprawdzie teren osuszano, ale nie wiedziano z jakiem przeznaczeniem. Obecnie więc usilnem naszem dążeniem jest zbliżenie doradztwa rolniczego do techniki, opóźnienie bowiem w tym względzie czyni naprawienie ewentualnego błędu b. trudnem.

Przechodząc do szczegółów minister podkreśla, że rozrost prac komasacyjnych zawiera w sobie niebezpieczeństwo mniej dokładnego ich wykonania. Zażaleń z powodu wykonanych prac komasacyjnych jest dość dużo i pochodzą one z tego okresu, gdy pracownicy brali wynagrodzenie akordowe od wykonanej pracy. Pragniemy trzymać się tego, aby w stosunku do zażaleń zachować twardą postawę wobec wszelkich tendencyjnych załatwień, lub nieuczciwości pracowników, natomiast staramy się przeciwstawiać w wypadkach nieracjonalności planu ogólnego.

Rozporządzamy środkami dość ograniczonemi i rozszerzyć zakres komasacji możemy jedynie w miarę jej potanienia. Staramy się też odciążyć techniczny aparat kontroli nad geometrami przez zwiększenie odpowiedzialności samych geometrów. Dotychczas każdą ich czynność techniczną sprawdzał rewident pomiarowy, obecnie chcemy nadać większą wagę podpisowi samego geometry i spodziewamy się, że da to pewne potanienie pracy.

Co się tyczy parcelacji, to wczorajszy parcelant, który musiał płacić z ha kwoty niewspółmiernie wysokie w stosunku do dochodowości, był czynnikiem raczej odstraszającym od nabywania ziemi. Zdarzały się karykaturalne wprost wypadki, że koszt rocznej raty amortyzacyjnej wynosił 250 zł. z ha, a wysokość koło 100 zł. była nawet dosyć częsta. Wygospodarować oczywiście tego nie można było. Sądzę więc, że zabieg ostatni, t. j. zmniejszenie cen ziemi zapomocą przeszacowania — odciąży zainteresowanych i że dzięki temu powróci zaufanie, iż można ziemię kupić i wywiązać się ze swych zobowiązań. Po dotarciu do świadomości ogólnej, że się stosunki zmieniły na lepsze, powstanie nowy pęd do kupowania ziemi, oczywiście, przy długoterminowym kredycie. Duże znaczenie mieć będzie i to, w jakiej mierze zwiększy się parcelacja prywatna, której ostatnie lata wykazują znaczne zmniejszenie. W r. 1935—1936 przewidywać można, że natężenie parcelacji i podaż ziemi będą jeszcze stosunkowo nieduże. Sumy przewidziane w prelimi-

narzu na zwiększenie zapasu ziemi parcelacyjnej nie odpowiadają zamiarom rozszerzenia tej akcji w czasie najbliższym. W formie raczej też domysłu wstawiam przewidywanie, że około 50.000 ha zostanie przejętych przez Państwo z akcji oddłużeniowej. Obie te akcje muszą być oczywiście połączone z możnością kredytowania. Akcja komasacyjna uległa osłabieniu także dlatego, że Państwo nie dawało kredytów. Konieczną jest więc w tym względzie bodaj najskromniejsza pomoc i plan mój liczy się z tem, że około 25.000 gospodarstw — t. j. mniej więcej $^1/_3$ tych, które miałyby tej akcji podlegać, powinny otrzymać kredytów po 300 zł.

Co się tyczy zabudowań nowych kolonij, to metoda, stosowana w województwach zachodnich, że oddawano kolonje już zabudowane, jest metodą najkosztowniejszą, lecz całkowicie przekreślić jej nie można. Trzeba tu przychodzić z pewną pomocą i zamierzamy czynić to przez proste określenie maksymalnej kwoty kredytu w stosunku do ha. Wysokość 1.000 zł od jednego ha niezależnie od innych ciężarów jest bezwzględnie zbyt dużą, gdyż obciążenie z tytułu zabudowań nie powinno przekraczać 400 do 500 zł. Te środki pomocy kredytowej pochłoną około 12 milj. zł. Kredyt ten nie jest wprawdzie zamieszczony w preliminarzu, będziemy jednak mogli rozporządzać na ten cel kwotą do 15 milj. zł., więc z Funduszu Obrotowego nastąpi tylko zmniejszenie oprocentowania. Około półtora milj. zł. pójdzie też na zagospodarowanie łąk t. j. na zakup nasion, traw i nawozów sztucznych«.

KSIĄŻKI

Robert Rydz: »Kasine Wesele«. — Sztuka regjonalna w 3 aktach z muzyką, prof. Koniora. Nakładem Tow. św. Michała Archanioła. Miejsce Piastowe 1934 r.

Jednym z najciekawszych dramaturgów ludowych w obecnem pokoleniu pisarzy ludowych jest bezsprzecznie Robert Rydz. Zasila on niestrudzenie od szeregu lat nietylko sceny ludowe, ale i amatorskie po miastach i miasteczkach.

W dobie, kiedy sceny amatorskie cierpią na brak odpowiednich sztuk, kiedy repertuar jest nieaktualny i właściwie wyczerpany i niema doprawdy sztuk ludowych — Rydz, jako jedyny pisarz-dramaturg, sam wypełnia tę lukę, dostarczając coraz to nowych, pięknych wodewilów, dramatów i komedyj. W pracy swojej kroczy zatem godnie śladami swych świetnych poprzedników, twórców sztuk ludowych: Dominika, Mellerowej, Galasiewicza, Anczyca i innych.

Rydz tworzy sztuki różnorakie, nadające się na każdą okoliczność czy rocznicę, a tematy do nich czerpie przeważnie z ludu.

Autor »Kasinego Wesela« znanym jest najwięcej na terenie małopolskim, mniej może w innych dzielnicach, a najwięcej śród Polonji zagranicą, która sztuki jego grywa nader chętnie. Popularność swoją zagranicą zawdzięcza Rydz firmie wydawniczej Cybulskiego w Poznaniu, która wydaje i kolportuje jego sztuki do wszystkich części świata, gdzie się tylko stopa emigrancka zatrzyma.

Z ludowej twórczości przedwojenuej nie obce są nazwiska pisarzy ludowych: Ferdynanda Kurasia, Jantka z Bugaja, Józefa Chełpińskiego, Bojki, Sawczuka, Magrysia, Słomki. Ale ci wszyscy pisali przeważnie wiersze, dramatu prawie nie tknęli, jedynie Rydz z nich wyszedł jako dramaturg, bo ten rodzaj twórczości leży w jego talencie.

»Kasine Wesele« jest jedną z ostatnich sztuk Rydza (napisał około 20 utworów scenicznych) i jest sztuką wybitnie regjonalną. Rzecz dzieje się w ziemi bocheńskiej, a więc w krakowskich stronach. Folklor, a zwłaszcza pieśni w niej są autentyczne, oryginalne, do dziś jeszcze śpiewane na weselach chłopskich, lecz tam, gdzie usiłują utrzymać jeszcze tradycyjne, wielkie wesela.

Dobrze autor zrobił, że wstawił w swoje »Wesele« coraz bardziej zapomniane i pogardzane przez zurbanizowaną wieś szczątki prześlicznych, pełnych uroku pieśni obrzędowych, które zczasem pójdą w zapomnienie.

Wieś emancypuje się i zatraca swe piękno tak szybko, że budzi zdumienie nawet u ludzi, którzy z tej wsi wyszli. Jeżeli więc będziemy gdzie oglądali wesele wiejskie autentyczne, to tylko na scenie teatru, bo wieś w zapędach reformatorskich zatraca swe stroje, zwyczaje, obrzędy, nietylko ze szkodą dla siebie samej, ale i dla całej Polski. Urok tradycji i piękna wsi gaśnie tak szybko, jak sobótki rozpalone w czasie dojrzewania żniw, w Zielone Święta. Sam autor nad tem ubolewa i jednej postaci z wesela wkłada w usta słowa ubolewania i przestrogi.

W sztukach Rydza wogóle przebija wielka

prostota, szczerość i ukochanie ludu. Postacie jego sztuk przemawiają i śpiewają do nas językiem prostym, naturalnym. Rydz zna doskonale wieś, bo na wsi wyrósł, wyszedł z niej, aby głosić jej piękno odwieczne, jej nadzieje, radości i troski. Zapoznaje nas ze wsią nie przebrany miejski literat, lecz jej syn autentyczny.

Autor zna świetnie scenę i arkana sztuki scenicznej, bo sam od wielu lat prowadzi jako reżyser przedstawienia i zna wymagania publiczności teatralnej. Wszystkie sztuki Rydza mogą być grane w całej Polsce przez zespoły ludowe; są piękne, zrozumiałe dla każdego, mają szlachetne tendencje i mogą być grane nawet w najbardziej prymitywnych warunkach.

Rydz jako »swojak« i tęgi dramaturg w zupełności zasługuje na to, aby jego twórczością zainteresowały się szerzej wiejskie zespoły amatorskie.

Na osobne wyróżnienie zasługuje także w »Kasinem Weselu« muzyka prof. Koniora. Nie uronił on nic z oryginalnych pieśni ludowych, owszem, podkreślił ich swoistą ornamentykę, zachowując czystą i wspaniałą melodykę. Autor z kompozytorem podali sobie tutaj zgodnie rękę.

Warto również wspomnieć o innych sztukach Rydza, wymieniając bodaj ich tytuły: »Cud nad Wisłą«, »Grzeszna miłość«, »W strasznym młynie«, »Walkowe kochanie«, »Zemsta cygana«, »Symche Śmil na froncie«, »Na dworze Faraona«, »Wyrodny syn«, »Szatan«, »Podróż poślubna«, »Złoty pierścień«, »Opamiętanie«, »Nieznajomy«.

Franciszek Lipiński.

UKAZAŁ SIĘ NR. 1 »WIEDZY I ŻYCIA«. Na stukilkudziesięciu stronicach bogato ilustrowanych, mamy przegląd dorobku naukowego ostatnich lat. Numer otwiera artykuł prof. A. B. Dobrowolskiego »Polska wyprawa na Spitsbergen«, omawiający szczegółowo tę wyprawę i jej znaczenie; dalej idzie artykuł dyr. obserwatorjum astronom. Kamieńskiego »Granice Wszechświata«, w którym obok tajników techniki astronomicznej przedstawia najnowsze, jeszcze w polskiej publicystyce naukowej nie ogłaszane, dane cyfrowe rozmiarów wszechświata. W rozprawie: »Fizyka i pogląd na świat«, prof. Wertenstein wprowadza nas w filozoficzne konsekwencje najnowszej fizyki, potem idą artykuły: Al. Hertza — »Książka popularno-naukowa a kultura« o problemach popularyzacji nauki i jego niebezpieczeństwach, R. Battagli — »Istota trudności gospodarczych«, traktujący obszernie i źródłowo o przejawach kryzysu, W. Husarskiego — »Michał Anioł«, J. Gliksmana — »Strona gospodarcza ubezpieczeń społecznych«, temat obecnie aktualny; wreszcie artykuły K. Czachowskiego — »Polska twórczość literacka 1933/34 r.« i Hossiasonówny — »Dwa kongresy filozoficzne«.

W dziale bieżącym jest kronika polityczna, obszerny i ciekawy dział »wiedza i technika«, omawiający nietylko poszczególne zagadnienia, lecz dający również przegląd według gałęzi nauk i wreszcie recenzje.

Całość robi wrażenie nie ustępujące wrażeniom przy czytaniu najlepszych zagranicznych publikacyj tego typu.

KOMITET REDAKCYJNY: Feliks Beaupré, Henryk Jaworowski, Zofja Furtkówna, Franciszek Stachnik, Józef Stożek. Wydawca i Redaktor naczelny Emil Zegadłowicz. Redaktor odpowiedzialny: Michał Baścik.

PRZEDSTAWICIELSTWO NA WARSZAWĘ objął Marjan Kubicki (ul. Pańska 66, m. 46).

REDAKTOR PRZYJMUJE w poniedziałki od 12-tej do 14-tej.

SEKRETARJAT CZYNNY codzień.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI »WSI«: Kraków, ul. Zacisze, l. 14, I p., telef. nr. 174—67.

ADMINISTRACJA czynna codzień od 8-mej do 14-tej.

Prenumerata	kwartal.	1'50	zagranicą (z przesył.)	2 zł.
„	półrocz.	3'—	„ „	4 „
„	roczna	5'—	„ „	7 „

NR. KONTA P. K. O. 400.025

Czcionkami Drukarni Związkowej w Krakowie, ul. Mikołajska L. 13. pod zarządem Józefa Dziubanowskiego.